Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 30 (1870) ● 24–30 lipca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 30

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl e85c9b743a

WOJNA DOMOWA

Atmosfera w PiS jakoś się nie poprawia. W zeszłym tygodniu prezes, podpuszczony przez „maślarzy", ogłosił ultimatum, dając członkom frakcji „harcerzy" tydzień na rezygnację z członkostwa. Teoretycznie ultimatum było adresowane do wszystkich frakcji, ale niektóre zareagowały zbyt skwapliwie, żeby można było uznać, że coś poświęcają. „Mamy głęboką nadzieję, że decyzja pana prezesa Kaczyńskiego zostanie wykonana przez wszystkich członków Prawa i Sprawiedliwości, naszym podstawowym zadaniem jest zjednoczenie się wokół naszego kandydata na premiera, pana profesora Przemysława Czarnka, który zgłasza rewelacyjne pomysły programowe" – ogłosił europoseł Bocheński. „Niektórzy z naszych kolegów Maślarzy chcą wykazać się gorliwością i prą do rozłamu. Muszę ich zmartwić: Prezes czasem lubi słuchać lizusów, ale ich nie szanuje" – skomentował Ryszard Terlecki. „Ubolewam nad tym że pan profesor posuwa się do tego typu manipulacji" – dogryzł się mistrz ciętej riposty Jacek Sasin. My tu, w „NIE", kibicujemy obu stronom po równo.

Także Mateuszowi Morawieckiemu, który nie klęka przed prezesem: „Prawo i Sprawiedliwość nie jest własnością żadnej grupy ani żadnej frakcji. Jest wspólnym domem milionów Polaków, którzy uwierzyli, że Polska może być dumna. Nie możemy być partią hermetyczną i wsobną. Bądźmy wielkim obozem polskich spraw" – ogłosił były premier, który najwyraźniej planuje być także przyszłym premierem. Na 31 lipca Morawiecki zapowiedział imprezę w niezobowiązującej formule grilla, czego prezes wyraźnie zakazał. W momencie zamykania tego numeru „NIE" nie wiemy jeszcze, czy Morawiecki weźmie sobie zakaz do serca – ale raczej nie podejrzewamy. W programie grilla jest kilka interesujących punktów, ze szczególnym uwzględnieniem debaty zatytułowanej „Rozwój a wykluczenia. Jak idąc do przodu nie zostawić nikogo z tyłu. Lewicowa perspektywa", w której weźmie udział m.in. znakomity dr Jan Oleszczuk-Zygmuntowski z Polskiej Sieci Ekonomii: niezwykle interesującego stowarzyszenia młodych ekonomistów kategorycznie odrzucających neoliberalny konsensus. Miejsce PSE jest w okolicy lewicy – ale skąd tu wziąć lewicę?

À propos: marszałek Czarzasty udał się do Płocka na spotkanie z ludem, który pouczył: „Ta koalicja będzie rządziła za półtora roku również. Jeżeli ktoś w to nie wierzy, to niech uwierzy". Wygląda wszakże na to, że marszałek sam nie stosuje się do własnych pouczeń, albowiem w tym samym wystąpieniu powiedział też: „Jeżeli rząd nie naprawi w ciągu półtora roku sytuacji w ochronie zdrowia, nie wygra wyborów". Jak rzadko zgadzamy się z marszałkiem Czarzastym. Ze swojej strony dodamy, że jak rząd będzie nadal wydawał 200 dużych baniek na zbrojenia i jednocześnie ciął badania przesiewowe na raka – to naprawa sytuacji w służbie zdrowia nieco się opóźni. Do jesieni 2027 r. możemy nie zdążyć.

Żeby uzasadnić te 200 mld zł, rząd starszy. W poniedziałek na przykład straszył wyciem. Wyło najpierw trzy minuty uaua, a potem trzy minuty tylko uuuu, i tak na zmianę. Wycie – doniosła „Gazeta Wyborcza" – „stanowiło integralną część tajnego scenariusza ćwiczeń". Chodzi o „ogólnokrajowe ćwiczenia z zakresu ostrzegania i alarmowania o zagrożeniu uderzeniami z powietrza pod kryptonimem »ALARM 2026«". Powaga wycia zapiera dech w piersiach, ale nie tak, jak powaga wicepremiera Kosinaka-Kamysza, który straszy „agresywną obserwacją", jakiej dopuszcza się Rosja. Na przykład: „Nad Bałtykiem, około 30 km od Ustki, nad wodami międzynarodowymi doszło do przechwycenia przez parę dyżurną naszych samolotów bojowych rosyjskiego samolotu rozpoznawczego. Po sygnałach o tym, że powinien opuścić przestrzeń powietrzną Polski, Ił-20 oddalił się w kierunku Rosji". To wydarzenie – dodał szef MON – „po raz kolejny powinno uświadomić nam, jak bardzo niebezpieczna jest Federacja Rosyjska". Wszyscy zadbajmy o to, żeby nikomu nie umknęła groza samolotu zawracającego nad wodami międzynarodowymi.

W Hotelu Grand Donald Tusk spotkał się z posłami i senatorami Koalicji Obywatelskiej. „Wszyscy bali się, że nas skrytykuje, ale tak nie było" – opowiadali uszczęśliwieni parlamentarzyści mediom. Według najnowszego badania (rządowej bądź co bądź) sondażowni CBOS, 48 proc. Polaków deklaruje się jako „przeciwnicy rządu", 58 proc. – źle ocenia wyniki jego działalności i tyle samo jest niezadowolonych z tego, że na jego czele stoi Donald Tusk. Oceny pozytywne wahają się między 29 i 31 proc. Czy kogoś jeszcze zadziwia w tym kontekście fakt, że to posłowie się boją krytyki ze strony premiera, a nie odwrotnie?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA



Lipiec 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Arsena

W projekcie ustawy o in vitro zawarty został zakaz pobierania spermy z trupa. Nie wiadomo, czy ma to uzasadnienie medyczne, czy też chodzi o to, żeby dewotki pragnące mieć dziecko z polskim ojcem świętym nie zakradły się do grobu na Watykanie, żeby onanizować Jana Pawła II.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętej Mariny

Zmarł Szymon Szurmiej, z którym się zadawałem, kiedy nie był jeszcze zawodowym Żydem, ale dyrektorem teatru w Opolu. Jeździłem tam dla wielu uciech, np. picia, rżnięcia adeptek, słuchania, jak Szurmiej wyjaśnia aktorom „Hamleta", a też jego wspomnień. W czasie wojny był w ZSRR wędrownym aktorem występującym ze swą trupą po kołchozach. Brał wtedy jako honorarium samogon, a niekiedy barana.

Nie wiadomo, co teraz będzie, gdyż państwowy Teatr Żydowski w państwie bez Żydów dawał utrzymanie rozległej rodzinie Szurmieja.

Świętego Wiktora

Sama słodycz, czyli sierotka po prezydentostwie Kaczyńskich w ultraprawicowej „wSieci" pisze: „Nie powinien więc czuć żalu ten, który nie może sobie pozwolić na gwar nadmorskich kurortów. Cykanie swojskich świerszczy, klekotanie bocianów i zapach siana są znacznie przyjemniejsze. Nikt też nie jest lepszym animatorem niż najbliżsi, a wieczorne wspólne czytanie jest na pewno bardziej pożyteczne niż podskakiwanie w dmuchanym zamku czy kolejna wizyta w hotelowym barku". Czyli sierotka boso po rosie wiła wianki i wrzucała je do falującej wody, wąchając siano, którego zapas zawsze ma w głowie.

Świętej Maryi Magdaleny

Tygodnik „Wprost" wziął straszny odwet na Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która mu zrobiła najazd na redakcję. Ponieważ jednak redaktor tygodnika Sylwester Latkowski wciąż celebruje popłuczyny po podsłuchach, tak schował reportaż Heleny Kowalik o ABW, że nikt go nie zauważył. Na tle romansu biurowego w tajnej policji dowiadujemy się od Kowalik, że kierownicze stanowisko w ABW zajmuje facet będący tchórzem, mazgajem, szantażystą, oszustem, prowokatorem, kłamcą, katolikiem i obłudnikiem. Patologiczne typy robią kariery we wszystkich służbach specjalnych całego świata, ale ABW bać się trzeba szczególnie.

Bohater red. Kowalik jest do tego wszystkiego głupi jak milicjant z antypeerelowskich dowcipów.

Świętej Brygidy

Co wybuchnie afera, liczne osobistości wydają oświadczenia, że nie mają z tym nic wspólnego. Moja osobistość oświadcza więc, że nie miała nic wspólnego z zestrzeleniem malezyjskiego samolotu. Jak również nie szantażowałem ostatnio bogaczy, że napiszę o nich książki, chociaż w odróżnieniu od red. Nisztora umiem je sporządzać. Nowe przysłowie: nie chciał Nisztor wydawać, to jego wydali.

Świętej Krystyny

W związku z upałami pudel Azor siedzi przy drzwiach i wyczekuje psiej fryzjerki, bo radby zdjąć futro. Zaraz za nim w kolejce jest suczka Fela i ja. Daniszewska wyjechała ochłodzić się w Turcji, oczekuję więc propozycji. Dziś na obiad chłodnik z krewetkami, które udają raki i makrela udająca kotlet schabowy. Tak przemija życie.

Świętego Jacka

Nie pijam win, więc się na nich nie znam. Od dziecka trzymam się czystej. Mając gości, gapiłem się bezradnie w sklepie na półki z winami. Przyszedł mi z pomocą inny klient, znajomy generał z byłej SB. Pogadaliśmy sentymentalnie o dawnych czasach. Generał mówił o tym, jaka sprawna, mądra i wszechwiedząca była Służba Bezpieczeństwa PRL. Mam wiele powodów, żeby wątpić w tę wszechwiedzę. W 1985 r. Daniszewska, już wtedy moja partnerka, pracowała w wydawnictwach technicznych. Skarżyła mi się, że ponieważ się koleguje tam z opozycjonistą, chcą ją wyrzucić za udział w grupie spiskowej. Jak wiadomo, spiski w wydawnictwach technicznych są szczególnie groźne. Zadzwoniłem więc do szefa V Departamentu zajmującego się gospodarką, więc także wydawnictwami NOT, pytając, o co chodzi. Przyszli do mnie towarzysze z SB, zapewniając, że Daniszewska ryje pod socjalizmem. Odparłem, że Daniszewska jest moją partnerką, mieszka ze mną, więc dla całej opozycji jest komunistyczną kurwą i ona nie może z nią spiskować. Ci z SB wszystko o Daniszewskiej wiedzieli, tylko nie to, że jest parą z rzecznikiem rządu i mieszka ze mną w tej samej willi, co premier – na ulicy Bacciarellego. W przedwojennej rezydencji Rydza-Śmigłego. Jakże łapali się za głowę i przepraszali, obiecując czułą opiekę nad Daniszewską. Od razu uznali, że seks z Urbanem zapewnia polityczny immunitet, bo jest najwyższym dowodem niewinności.

Świętej Damy z Karmelu

Gazety, w tym polska „Polska" i koszerna „Wyborcza", straszą, że Tusk wyjedzie do Brukseli, a w 2015 r. rządzić zacznie Kaczyński. W jego gabinecie zasiądą zaś: Macierewicz, Ziobro, Gowin, Hofman, Fotyga i Chazan jako minister zdrowia. Żarty żartami, ale kto po 1933 r. wcześniej uciekł z Niemiec, ten miał lepiej. Mam jeszcze rok na przetransferowanie pieniędzy za granicę, ale co ze mną? W razie czego myślałem o emigracji do Moskwy, ale Putin nie pozwala kląć, palić i nosić koronkowych majtek. W Berlinie, gdzie Daniel Passent przezornie ma już mieszkanie, mógłbym rozmawiać tylko ze sprzątaczkami, kelnerami i hydraulikiem. Ostatnio w grę zaczyna wchodzić Kijów, ale łatwo się mówi wyjechać. Mam tu parę domów, ani zabrać, ani sprzedać. Daniszewska, owszem zrywna, ale brać chce ze sobą pięć kotów, dwa psy, 18 gawronów, córkę, wnuków dwójkę, swojego jogina, pana Damiana z rodziną, pana Krzysztofa, panią Anię, panią Olę i mnie na dodatek. Istny tabor cygański...

Gdybyśmy zostali, to ja przypuszczalnie miałbym dość wygodną klatkę w Muzeum Komunizmu. Ale żonę ochrzcili jako niemowlę. Chociaż chrzest jej się nie przyjął, przychodziłaby policja gonić ją na pielgrzymki. I jeszcze ta reedukacja w parafii. Z drugiej strony można się ukryć przed policją Macierewicza. Od dawnych ziemian odkupiliśmy ziemiankę. Można by tam przycupnąć, grzejąc się nadzieją, że Moskwa znów nas wyzwoli. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Tygodnik „Niedziela"** informuje, że coraz więcej Francuzów wyrusza na pielgrzymki. Od francuza na pielgrzymce przynajmniej się nie zaciąży.
- **Kaczyński i Czarnek** udostępnili zdjęcie nad tacą owoców. Konkretnie egipskich truskawek, węgierskich arbuzów i greckich winogron.
- **Tadeusz Rydzyk** powiedział, że jak patrzy na niektóre twarze w sejmie, to jakby żulików widział. Na pewno niejeden poseł chciał kierownikowi auta popilnować.
- Do Europy trafiło 200 tys. **podrabianych prezerwatyw** z Chin. To rozwiąże problem niżu demograficznego na naszym kontynencie.
- **Fronda.pl** informuje, że mnisi żyją średnio dłużej niż przeciętny mężczyzna. A podobno od pracy jeszcze nikt nie umarł.
- **Marka Nawrocky** przygotowała limitowaną serię patriotycznych zegarków. Radzimy ich nie prezentować osobom najbliższym.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Areszt bezwzględny

Jestem już mocno znużony (...) informacjami o kierowcach złapanych bez prawa jazdy (…), z zakazem kierowania (...) lub na podwójnym gazie. Trzeba by wprowadzić bardzo prosty przepis, dzięki któremu sądy nie będą musiały po raz kolejny orzekać zakazu prowadzenia:

1. Kierowca złapany z promilami: ciupasem do aresztu na 30 dni, bez angażowania sądu, z mocy przepisu.
2. Kierowca złapany z zatrzymanym okresowo prawem jazdy: jak wyżej.
3. Kierowca zatrzymany z sądowym zakazem prowadzenia pojazdów: ciupasem do aresztu na trzy miesiące, a potem sąd orzeka grzywnę lub dalszy areszt.

Dałoby to natychmiastową likwidację zagrożenia oraz czas dla delikwenta na przemyślenie (...) zachowania. (…) Niestety nasi (...) posłowie mają inne sprawy na głowie, a lokator Pałacu nic takiego nie podpisze, bo uderzyłoby to w jego elektorat.

C.A.R.

Piekło przepełnione

Nawiązując do skądinąd ciekawego i ważnego artykułu Pana Omara Farisa w ostatnim numerze, pozwolę sobie na polemikę z tylko jednym stwierdzeniem Szanownego Autora. Nie uważam mianowicie, by ktokolwiek zasługiwał na miejsce w piekle. Gdyby dopuścić inną ewentualność, należałoby uznać, że już od dawna (...) jest ono przepełnione i nie może przyjąć kolejnych delikwentów.

Grzegorz Ruchlewicz

Konkurencja dla Dyzmy

W numerze 29/2026 tygodnika „NIE" Pan Wojciech Mittelstaedt na bazie anulowania czerwonej kartki przez Pana Pomarańczowego przywołuje podobne przypadki zaistniałe w historii. Warto przypomnieć, że Prezes Banku Zbożowego Nikodem Dyzma zakwestionował wynik starcia zapaśników, kwestionując ustalenia sędziego. A takich Nikodemów jest ci u nas dostatek.

Piotr Rudziński

eprasa.pl e85c9b743a

Wojna z planetą

Ekologiczne koszty zbrojeń

Trwa debata nad europejską gorączką zbrojeń. W tle konflikty wokół Ukrainy, Iranu, Gazy, Tajwanu. Mącą ludziom w głowach byli wojskowi, pseudoeksperci z think tanków, z naciskiem na tanki, ale bez własnych myśli. Główne aspekty tego galimatiasu poznawczo-praktycznego dały pretekst do wymiany zdań także w „NIE" (nr 29/26). Podzielając poglądy Redaktor Naczelnej w debacie z red. Piotrem Ikonowiczem, chciałbym dorzucić jeszcze jeden kontrargument.

Orgia marnotrawstwa

Mianowicie dotyczy on kosztów ekologicznych religii zbrojeń. Aspekt ten ma niemniejszą wagę niż inne. Wojny i zbrojenia mają bowiem miejsce w obecnej fazie systemowego kryzysu globalnego kapitalizmu. A ten zmaga się również z kryzysem planetarnym.

Koszty finansowe zbrojeń można oszacować. A co z kosztami ekologicznymi? Ponieważ zużycie energii i minerałów nie jest tu priorytetem, trwa orgia ich marnotrawstwa. Wszystkie imperia rozbudowujące siły zbrojne były zależne od minerałów. Po kolei: złota i srebra, drewna potrzebnego na maszty i do wytopu żelaza na armaty. Potem był węgiel (drednoty), ropa i uran. Oba nuklearne mocarstwa wyprodukowały po 5 tys. strategicznych głowic jądrowych oraz 15 tys. w pociskach krótszego zasięgu. Według obliczeń cenionego znawcy materiałowo-energetycznych uwarunkowań cywilizacji przemysłowej Vaclava Smila, groźba wzajemnego zniszczenia obu mocarstw nuklearnych pochłonęła co najmniej 5 proc. komercyjnej energii, jaką skonsumowano w obu krajach w latach 1950–1990.

Wszystkie konstrukcje nowoczesnej broni wyposażanej w podstawowe napędy w postaci silników odrzutowych i rakietowych, wymagają paliw kopalnych. Ogromna energia jest potrzebna do uzyskania rozszczepialnego izotopu uranu. Potrzebne są też stopy wysokogatunkowej stali, aluminium i tytanu. 60-tonowe czołgi Abrams, nowe nabytki Binarnego Władka, są napędzane przez turbiny gazowe. Każda spala od 400 do 800 litrów paliwa na 100 km. Podobnie paliwożerne są samoloty F-16. W czasie operacji Pustynna Burza nad Irakiem (1990–91) 1300 amerykańskich samolotów odbyło ponad 116 tys. lotów!

Tajemnica wiary w drona

Obecnie soldateska łaknie broni robotycznej, cyberbroni. Ona też wymaga kosztownych energetycznie metali ziem rzadkich. Bez z nich nie byłoby półprzewodników, a w konsekwencji dronów. By je wydobyć, planeta jest penetrowana maszynerią napędzaną wielkimi silnikami dieslowskimi. Drogę do złoża torują im materiały wybuchowe. To wojna wydana planecie. Soldateska całego świata chciałaby sięgnąć po minerały nawet na Księżyc. Próbuje otworzyć kosmos dla rywalizacji „żeglarzy naszych czasów": Muska, Bezosa, Bransona. Podobnie ich poprzednicy ścigali się przed wiekami z wiatrem o panowanie nad oceanem światowym.

Według szacunku Grzegorza Kołodki, ograniczenie zbrojeń o 1 proc. (z 2,35 proc. do 1,35 proc. światowego produktu brutto) pozwoli zaoszczędzić bilion dolarów rocznie. Lista najpilniejszych wydatków nie ma praktycznie końca. Realny postulat to dążenie do ograniczenia wielkości armii do zadań o defensywnym charakterze, nielicznej i niedrogiej.

Przed niewyrobionym widzem/słuchaczem/czytelnikiem ukryty jest ścisły związek między zglobalizowanym kapitalizmem a militaryzacją polityki międzynarodowej. Najbardziej widzimy słabość dziennikarskiego ujęcia w postrzeganiu globalizacji jako „międzynarodowej współpracy". Miałaby ona przynosić „wzrost gospodarczy, dobrobyt i świetlaną przyszłość" ludzkości. Tymczasem to była kłamliwa od początku narracja tzw. ekonomistów głównego nurtu. Bo chodziło o tanią pracę i tanie surowce najpierw globalnego Południa, a później byłych krajów demokracji ludowej.

Cały czas trwa inna wojna. To „haniebny atak na biednych ludzi" z globalnego Południa, i – w mniejszym stopniu – na klasy pracownicze Północy. Rośnie przepaść dochodów i warunków życia między 1 a 99 procentami ludzkości. Rosną szare szeregi funkcjonalnie wykluczonych, a w następstwie fale migracyjne i tzw. populizm. Dlatego geopolityka to o wiele za mało, by ukazać główne źródło obecnego kryzysu.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mineralnożerne imperia

Penetrowanie planety w poszukiwaniu potrzebnych surowców to stały punkt w dziejach świata. Dla społeczeństw rolniczych to była ziemia i tania siła robocza – efekt imperialnych podbojów. Potem złoto i srebro, bez którego państwa nie mogły finansować wojen: srebro z Laurium w Grecji, złoto z Asturii i Leonu dla Cesarstwa Rzymskiego.

Dla imperiów handlowych (Wenecji, Genui, Portugalii, Hiszpanii, Holandii, Anglii) to było najpierw drewno. Mówiono wtedy „nie ma drewna, nie ma królestwa". A także żelazo i brąz do wytwarzania dział. To bowiem w alfabecie dział galeonów głoszono wyższość wartości europejskich nad wartościami ludów nie znających Pana.

Niewiele się zmieniło. Żyjemy nadal w epoce imperiów kopalnych. To bowiem węglowodory nadal konieczne są do tego, by utrzymać produkcję i konsumpcję; by chronić drogi transportu towarów i surowców, teraz kontenerowców czy gazowców. Dlatego do funkcjonowania Systemu konieczne są różne wersje okrętów wojennych – napędzanych najpierw węglem, potem ropą w dieslowskich silnikach; a także samolotów zbudowanych ze stali, ze stopów różnych metali, z tworzyw sztucznych.

Obecnie wydobycie metali ma szerokie zastosowanie militarne i „cywilne" – głównie w energetyce i w elektronice. Są one niezbędne do wywarzania elektroniki napędzającej roboty, jak i do cyberbroni. Mowa o metalach „krytycznych" będących albo produktem ubocznym przy wytwarzaniu innych metali (gal, selen, tellur, german), albo występujących rzadko w litosferze. Dlatego są drogie: np. kilogram galu kosztuje dziewięć tysięcy razy więcej niż kilogram żelaza, a german – 10 razy więcej niż gal. Inne to kobalt, lit, tantal, cyrkon, wolfram, platynowce. Bez tych i wielu innych nie byłoby półprzewodników, a bez półprzewodników kapitalizmu platform, sieci, obróbki i przesyłania informacji – nowego źródła akumulacji kapitału. I wylęgarni nowej oligarchii: kalifornijskich doliniarzy.

Trumpizm

Dlatego kalifornijskie big techy stanęły przed kolejnym wyzwaniem: jak zapewnić sobie zaopatrzenie w niezbędne metale i w niezbędną energię dla swoich platformianych biznesów? Jak planowane w podwarszawskich Regułach centrum przetwarzania informacji.

Nowe dziedziny produkcji i konsumpcji są konieczne, by kręciła się maszyneria akumulacji kapitału: będą inwestycje, będą zyski. Ich brak oznaczałby kres systemu podporządkowanego logice zysku. W tej sytuacji trumpizm stanowi w istocie – jak trafnie wskazuje historyk idei Andrzej Szahaj – „połączenie totalnego kapitalizmu z zamordystycznymi rządami". Widzimy tego początki za Atlantykiem, a pilnym uczniem stała się polska prawica, antyszambrująca w Białym Domu. Także europejskie marionetki biznesu stają na wysokości zadania – korzystają z okazji, by ratować europejski przemysł kosztem jakości życia tych, którzy nie mają w portfelach akcji koncernów zbrojeniowych. Tak więc

zbrojenia są gigantycznym marnotrawstwem zasobów. Nie dajmy się zwodzić soldatesce lokalnej i światowej. Wspierają ją telewizyjni samozwańczy „eksperci", których teraz są dziesiątki, jeśli nie setki, we wszystkich mediach. To podżegacze wojenni

żerujący na ludzkim strachu. Żaden wyścig zbrojeń nie rozwiązał dylematu bezpieczeństwa. Ten zaś wywołuje nieprzezwyciężalna niepewność co do motywów, intencji i możliwości działań ofensywnych sąsiadów posiadających arsenały broni. I właśnie ta niepewność jest pewna. Ale można ją redukować, budując środki zaufania, redukując arsenały, utrzymując współpracę gospodarczą. I wybrać nie armaty, tylko „masło", zdrowie i życie.

Ale czy to możliwe w kapitalizmie jaki znamy? I na tym barbarzyństwie polega problem.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Fioł militarystyczny

Nie strasz, pan, nie strasz, bo się pan zesrasz

Rząd Donalda Tuska cynicznie ignoruje powoli narastające w Polsce nastroje antymilitarystyczne, coraz bardziej widoczne choćby w mediach społecznościowych. W odpowiedzi władza konsekwentnie wytwarza atmosferę strachu – jakoby wojna stała tuż tuż u naszych granic.

Służą temu organizowane co jakiś czas – ostatnio 21 lipca – ogólnopolskie testy systemu ostrzegania. Najpierw w postaci trzyminutowego modulowanego wycia syren alarmowych – co ma oznaczać, żeby chować się po piwnicach przed rosyjskimi bombami i dronami. A następnie, kiedy trzyminutowy dźwięk będzie ciągły – że już można śmiało wyjść na świeże powietrze.

Co do dronów, to kilka tygodni temu w Dęblinie Prokuratura Krajowa zorganizowała dla wojskowych prokuratorów szkolenie z zakresu wypadków lotniczych, kładąc szczególny nacisk na sposoby „zabezpieczania i prowadzenia oględzin miejsc zdarzeń z udziałem wrogich bezzałogowych statków powietrznych (…), a także techniczne możliwości pozyskiwania dowodów z tego rodzaju urządzeń".

Na wschodzie kraju robi się w kontekście tych zabaw w wojnę bardzo ciekawie. Oto na przykład Podlaska Brygada Obrony Terytorialnej symbolicznie zmieni nazwę na Podlaską Brygadę Obrony Pogranicza.

„Przybędzie nam około 200 żołnierzy zawodowych. Powstanie nowy batalion logistyczny. Sformułowany zostanie zespół wsparcia rozpoznawczego na szczeblu brygady i dodatkowo zespoły rozpoznawcze w każdym z pięciu batalionów. Dodatkowo wzrosną nasze zdolności do oddziaływania ogniowego na potencjalnego przeciwnika. Wyposażeni zostaniemy w systemy dronowe, nowe granatniki, środki przeciwlotnicze, moździerze przeciwpancerne i pociski kierowane" – chwali się jej szef gen. bryg. Mieczysław Gurgielewicz w rozmowie z Polskim Radiem Białystok, dodając przy tym istotne szczegóły: „Brygady Obrony Pogranicza będą pełniły bardzo ważną rolę w ramach Narodowego Programu Odstraszania i Obrony »Tarcza Wschód«. Po wybudowaniu instalacji wzdłuż naszej granicy, jak również miejsc składowania materiałów budowlanych wykorzystywanych do budowy umocnień, Brygada Obrony Pogranicza przejmie te instalacje. Aktualnie wykonujemy m.in. zadania na granicy polsko-litewskiej. Po przeformowaniu w Brygadę Obrony Pogranicza wsparcie Straży Granicznej również będzie jednym z zadań, które będziemy realizowali"…

Zgodnie z rozporządzeniem resortu obrony, Gurgielewicz ma na to czas do końca roku. I pewnie zdąży, bo rządowej kasy na pensje dla nowych szwejów i nowe zabawki do zabijania Rosjan raczej nie zabraknie.

Jak się przy tym nieoficjalnie dowiedzieliśmy, w jednej z gmin województwa podlaskiego,

specjalnie wyselekcjonowani żołnierze mają być szkoleni w najbardziej brutalnych odmianach wschodnich sztuk walki. Te obozy szkoleniowe przygotują skutecznie kadry takich, którzy bez mrugnięcia okiem będą umieli skręcić przeciwnikowi kark i podciąć gardło.

Ich wychowaniem zajmą się m.in. emerytowani wojskowi z przeszłością w dawnych WSI.

Wisienką na torcie przy tym całym militarystycznym nadęciu jest to, co ostatnio opisała „Rzeczpospolita". W nowelizacji kodeksu karnego miałoby się bowiem znaleźć nawet dożywocie za niewykonanie rozkazu przez żołnierza.

Z takim backgroundem, Prezes Rady Ministrów śmiało może na jesieni w Polsce organizować ćwiczenia wojskowe tzw. Koalicji Chętnych z udziałem brytyjskich i francuskich szwejów. „Na rzecz bezpieczeństwa regionu i Ukrainy" – jak zapowiedział ostatnio w Paryżu. Bo nie oddamy Putinowi ani guzika.

JMP

MÓŻDŻEK TYGODNIA

No i co, no i co, no i co…? Posłanka Polski 2050 Izabela Bodnar zrobiła sobie zdjęcie w towarzystwie dwóch martwych tuńczyków. No i co?

To, że przyczepiła się wicemarszalica senatu: „Bez względu na to, czy to wielki tuńczyk, czy płotka, to osoba [Bodnar], która robiła sobie kampanię na pomaganiu zwierzętom, nie powinna takich rzeczy wstawiać [do internetu], bo to hipokryzja. A tłumaczeniami o sushi pani posłanka tylko bardziej się kompromituje".

Bo Bodnar rzeczywiście wyjaśniła głąbom: „Każde sushi, każda ryba, każdy kotlet, który jecie, pochodzi od złowionego lub zabitego zwierzęcia. Jeżeli kogoś to razi i nie może się z tą oczywistą prawdą pogodzić, niech przejdzie na wegetarianizm. Inaczej nie ma mandatu, żeby tu wyć".

Gdyby Bodnar sfotografowała się z nieżywą Biejat, to mógłby być powód do wycia, ale z rybami? Inna sprawa, to czy nieżyjąca senatorka potrafiłaby wyć?

Albo dziennikarka Gozdyra. „Pani poseł, proste pytanie: jak bardzo trzeba nie mieć stylu/empatii, by zrobić sobie takie zdjęcie, a następnie je opublikować?" – zapiszczała.

No to pstryk: fotka ze sztywną Gozdyrą! Teraz wrzeszczcie, mięsożerni malkontenci! Teraz kręćcie głową i zatykajcie nos.

A jakbyście śpiewali, gdybyście wiedzieli, że posłanka Bodnar rozmawiała z tymi tuńczykami przed ich śmiercią. Najpierw chciała się dowiedzieć, czy naprawdę dzieci i ryby głosu nie mają.

– Ależ mają – zapewniła ryba imieniem Pedro.

– Kto wygra w finale, Argentyna czy Hiszpania?

– Jesteśmy Hiszpanami – odparł tuńczyk Miguel. – Hiszpania na bank zwycięży.

– A czy mogę sobie zrobić z wami selfika, gdy już, wiecie… popłyniecie na wieczne łowiska?

– Pewnie. Możesz też nas posiekać, dodać ryżu i wasabi i wpierdalać tyle sushi, ile tylko chcesz. Tylko się nie udław. Adiós!



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl e85c9b743a

Partia Ludzi Miłych

Mam pomysł na rekonstrukcję polskiej polityki. Do bani.

Zapewne nie czytaliście czerwcowego raportu CBOS poświęconego zaufaniu do polityków. Ja, z zawodowego obowiązku, przeczytałem go za was. I niestety nie mam dobrych wiadomości.

Z badania wynika, że największym zaufaniem Polaków cieszy się prezydent Karol Nawrocki – ufa mu 53 proc. respondentów. W praktyce oznacza to, że dla więcej niż połowy społeczeństwa jest on politykiem budzącym pozytywne emocje.

Oczywiście wszyscy chcielibyśmy mieć sympatycznego prezydenta. Problem polega na tym, że z raportu wynika, iż tym sympatycznym prezydentem ma być właśnie Karol Nawrocki.

Dla ludzi o poglądach podobnych do moich to klasyczny szok poznawczy. Mózg natychmiast uruchamia wszystkie dostępne mechanizmy obronne. Najpierw wyparcie: „To niemożliwe". Potem podejrzenie spisku: „Pewnie źle zadali pytania". Następnie próba ratowania rzeczywistości: „Respondenci chyba pomylili nazwiska". Kiedy i to zawodzi, pozostaje już tylko ostatni etap – pogodzenie się z faktem, że świat nie ma obowiązku zachowywać się zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

Gęby do całowania i ryje do omijania

Ale czytałem dalej i okazało się, że nie jest aż tak źle. Godnymi zaufania, a więc – w potocznym odczuciu – po prostu sympatycznymi, okazali się również: Władysław Kosiniak-Kamysz (45 proc.), Radosław Sikorski (42 proc.) i Rafał Trzaskowski (40 proc.). Ba! Wysokie notowania osiąga nawet Krzysztof Bosak. Jak widać, sympatia wyborców nie zna granic ideologicznych.

Jest jednak i mroczna część raportu. Wynika z niej, że istnieje również grupa polityków wyraźnie niesympatycznych, czyli takich, którym Polacy po prostu nie ufają. Liderem jest Jarosław Kaczyński (57 proc. deklaracji nieufności). Za nim plasują się Grzegorz Braun (55 proc.), Przemysław Czarnek (51 proc.) oraz Mateusz Morawiecki (50 proc.).

Granica przebiega gdzie indziej

I tu doszedłem do odkrycia, które mogłoby zrewolucjonizować polską politologię. Okazuje się bowiem, że sympatyczność i antypatyczność, zaufanie lub jego brak, wcale nie przebiegają według obecnych podziałów politycznych. Nie pokrywają się ani z osią lewica–prawica, ani z podziałem na rząd i opozycję, ani nawet z poglądami samych ankietowanych. To zupełnie inna mapa Polski, biegnąca gdzieś w poprzek wszystkich dotychczasowych frontów.

Owszem, partie mają programy. Jedne chcą obniżać podatki, inne je podwyższać. Jedne wolą więcej państwa, inne więcej rynku. Ale przecież wszyscy wiemy, że wyborcy często kierują się czymś znacznie prostszym. Zadają sobie pytanie: „Lubię tego człowieka czy nie?"; „ Czy kupiłbym od niego rower?".

Proponuję więc reformę ustrojową. Skoro naród i tak nie czyta programów, a przy urnie kieruje się tym, czy kandydat ma miłą gębę, to stwórzmy dwie partie: Partię Ludzi Miłych (PLM) oraz Związek Paskudnych Charakterów (ZPC).

Bez względu na poglądy, życiorysy i programy. Lewicowiec mógłby siedzieć w jednej ławie z konserwatystą, liberał z narodowcem, byle tylko należeli do tej samej kategorii charakterologicznej sympatycznych lub gburów. Wygląda to na pierwszy rzut oka znakomicie. Jak zresztą niemal każdy nowy pomysł – przynajmniej do chwili, gdy zza zakrętu nie wyłoni się bestia zwana praktyką.

Dwie partie, dwa światy

Wyobraźmy sobie zatem pierwsze walne zgromadzenie Partii Ludzi Miłych (PLM), której – zgodnie z demokratycznym werdyktem sondaży – przewodniczy Karol Nawrocki. Sala wypełnia się ludźmi sympatycznymi. Wchodzą z uśmiechem, ściskają sobie dłonie, wymieniają uprzejmości i komplementy. Każdy jest miły dla każdego. Nikt nikogo nie obraża. Atmosfera wręcz idylliczna.

Przewodniczący Nawrocki: Szanowni Państwo, otwieram Walne Zgromadzenie. Wyglądają Państwo doprawdy kwitnąco.

Sala: Dziękujemy. Pan również prezentuje się nienagannie.

Przewodniczący: Przejdźmy do wyboru szefa partii. Czy ktoś z Państwa zechciałby kandydować? (Cisza, przerywana jedynie szelestem jedwabnych krawatów).

Delegat z III rzędu: Ja wprawdzie mógłbym, ale obawiam się, że ktoś inny zrobiłby to z większą korzyścią dla ogółu. (Oklaski).

Inny delegat: Chciałem powiedzieć dokładnie to samo. Pańska skromność jest wręcz wzruszająca. (Jeszcze większe oklaski).

Przewodniczący: Wobec tego może Pan, Panie Delegacie?

Delegat: Ależ skąd. Nie śmiałbym odbierać tej szansy komuś bardziej kompetentnemu.

Głos z sali: A ja uważam, że właśnie ta pańska niechęć do władzy czyni Pana idealnym kandydatem.

Delegat: Jest Pan nadzwyczaj uprzejmy, ale to gruba przesada.

Inny delegat: Nie, to Pan przesadza, twierdząc, że on przesadza.

(Mijają dwie godziny wzajemnego polerowania sobie klap marynarek.)

Przewodniczący: Czy ktoś ma odmienne zdanie?

Delegat: Nie chciałbym psuć tak wybornej atmosfery.

Drugi delegat: Ja również. W pełni podzielam ten brak sprzeciwu.

Sekretarz: Nadal nie mamy ani jednego kandydata.

Delegat z końca sali: Proponuję zatem dotychczasowego przewodniczącego.

Przewodniczący: Och, dziękuję, ale naprawdę są tu osoby znacznie ode mnie godniejsze.

Sala (chórem): Właśnie dlatego musi Pan zostać!



Rys. MARCIN CHUDZIK

Przewodniczący: Skoro Państwo tak usilnie nalegają... Gratuluję Państwu tego wyboru.

Po sześciu godzinach obrad Partia Ludzi Miłych jednomyślnie przyjęła uchwałę, że wszyscy mają rację. Ponieważ nikt nie chciał nikogo urazić, nie podjęto też żadnej decyzji.

Przejdźmy teraz do drugiego kręgu piekła, czyli Związku Paskudnych Charakterów (ZPC). Tu nikt nikogo nie głaszcze, tu się gryzie do kości. Przewodniczy Jarosław Kaczyński, bo w kategorii „nieufność" jest niekwestionowanym czempionem. Zjazd partyjny:

Kaczyński: Otwieram...

Głos z sali: Jeszcze pan nie otworzył, a już pan sknocił.

Kaczyński: Proszę nie przeszkadzać.

Delegat: A kto mi zabroni? Suweren?

Sekretarz: Proszę o spokój!

Chór głosów: Sam się uspokój, paralityku! Kto ci dał ten długopis?

Kandydat I: Kandyduję, bo jestem tu jedynym, który nie jest kompletnym idiotą.

Kandydat II: To kłamstwo. Pan się nie nadaje nawet do pilnowania pustego parkingu.

Kandydat III: Obaj jesteście kompromitacją. Gdyby głupota była towarem eksportowym, Polska byłaby bogatsza od Emiratów. (Oklaski).

Kandydat IV: Chciałbym powiedzieć coś dobrego o kontrkandydatach... (Cisza). ...ale nie mam daru widzenia rzeczy nieistniejących. (Owacja na stojąco).

Po czterech godzinach wzajemnego plucia w zupę…

Sekretarz: Mamy 20 kandydatów. Nikt nie wygrał.

Delegat: Sfałszowane!

Komisja: Ale jeszcze nie liczyliśmy głosów.

Delegat: Tym bardziej widać, że szwindel!

Walny Zjazd Związku Paskudnych Charakterów zakończył się zatem oszałamiającym sukcesem, czyli totalną destrukcją. Nie wybrano przewodniczącego, bo nikt nie był godzien tak wielkiej pogardy, jaką darzyli się nawzajem uczestnicy. Rozwiązano prezydium, pogoniono komisję skrutacyjną i – w ramach budowania narodowej jedności – złożono siedem pozwów oraz 11 zawiadomień do prokuratury. To i tak skromny wynik, zważywszy na zagęszczenie kanalii na metr kwadratowy.

Dwie katastrofy do wyboru

Wyobraźmy sobie teraz, że mimo wszystkich trudności obie partie zarejestrowały komitety wyborcze. Naród stanął przed dylematem godnym osła, któremu w jednym żłobie dano watę cukrową, a w drugim dynamit.

Ludzie Mili to polityczna wersja paraliżu w białych rękawiczkach. Zanim uchwalą budżet, przeproszą inflację za śmiałość, wysłuchają racji banknotów, a na koniec odłożą sprawę na święty nigdy, żeby przypadkiem nie urazić uczuć oponenta. To władza, która umrze z głodu przed pełną lodówką, bo nie będzie mogła się zdecydować, kto ma pierwszy wziąć widelec. To rządy w stanie permanentnego „przepraszam, że żyję".

Paskudne Charaktery to z kolei furiaci w trybie przyspieszonym. Decyzję o zrujnowaniu czegokolwiek podejmą w pięć minut. Przez pierwsze cztery będą się okładać epitetami od zdrajców, kanalii i idiotów, a w piątej – między jednym pozwem a drugim – podpiszą cokolwiek, byle tylko dopiec bliźniemu. Obrażą przy tym pół świata, a drugie pół wpiszą na listę wrogów ojczyzny.

Między paraliżem a podpaleniem

Muszę zatem z niesmakiem przyznać rację samemu sobie: mój reformatorski zapał okazał się niewypałem. Projekt politycznego raju, w którym oddzielamy owce od kozłów, czyli miłych od kanalii, zdechł w konfrontacji z rzeczywistością. Okazało się, że Partia Ludzi Miłych to po prostu zbiorowisko nieudaczników niezdolnych do podjęcia jakiejkolwiek decyzji, a Związek Paskudnych Charakterów to banda piromanów gotowa wysadzić w powietrze kulę ziemską – która i tak wisi w próżni, więc wielkiej straty by nie było.

Natura, w swej złośliwości, najwyraźniej wie, co robi. Demokracja to bigos, w którym potrzebni są i ci, co sypią cukier, i ci, co plują do garnka. Jedni udają, że cywilizują obyczaje, drudzy kopią rzeczywistość w tyłek, żeby w ogóle drgnęła.

Dzień dobry, właśnie pana okradam

Zrozumiałem też jedno: sympatyczność to nie program polityczny, to makijaż. To zasłona dymna, która pozwala wyborcom nie widzieć, co polityk trzyma za plecami. Karol Nawrocki jest dla wielu Polaków „sympatyczny", ale to wdzięk szczególnego rodzaju. To urok komornika, który przychodzi zająć pański dobytek, ale ma na tyle taktu, by starannie zdjąć buty w przedpokoju. Jest uprzejmy, kulturalny, niemal serdeczny – ale telewizor i tak wyniesie. I to jest właśnie ta nasza narodowa specyfika: wolimy tracić majątek w towarzystwie kogoś, kto mówi „dzień dobry", niż kogoś, kto wali nas w pysk bez uprzedzenia.

ROBERT JARUGA

Weto ideologiczne

Nawrocki nie podpisał, ale wina Tuska

Czy ktoś jeszcze mógł poczuć się zdziwiony nawrockim wetem do ustawy o statusie osoby najbliższej? Co prawda niegdyś, w kampanii wyborczej ubiegłego roku, Karol Nawrocki przebąkiwał coś o tym, że takie przepisy gotów by był podpisać, ale wszedłszy raz w tryb wetomatu uwala każdą ustawę, jeśli tylko jest szansa, że ugodzi to koalicję rządzącą, mając w głębokim poważaniu dobro obywateli.

Przegłosowana niedawno przez sejm ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu była ostatnią nadzieją społeczności LGBT na obiecane przez Donalda Tuska uregulowanie sprawy związków jednopłciowych. Choć – dodajmy – nie tylko ich dotyczyła: była adresowana do wszystkich par, które żyją bez ślubu, nierzadko mając wspólny kredyt, wychowując wspólne dzieci. A takich jest w Polsce sporo – w wypowiedziach czynników rządowych słyszymy o setkach tysięcy – i należy liczyć się z tym, że będzie coraz więcej.

W obronie fikcji

Decyzja Nawrockiego staje się jeszcze bardziej niezrozumiała, jeżeli posłuchamy panaprezydenckiego uzasadnienia do weta. Nawrocki przypomniał, że w kampanii mówił o swojej gotowości do rozmowy o uregulowaniu statusu osoby najbliższej. – Jednak zawsze podkreślałem, że nic, co jest quasi-małżeństwem, nie może liczyć na moje wsparcie – dodał. Następnie pobełkotał coś o tym, że przyznawanie parom zawierającym umowę o wspólnym pożyciu takich samych praw jak małżeństwom przy jednoczesnej łatwości, z jaką umowę można rozwiązać „bez sądowej kontroli rozwodów" (na podstawie jednostronnego oświadczenia składanego przed notariuszem), jest niesprawiedliwością wobec małżeństw, które biorą na siebie długoterminową odpowiedzialność.

Pan prezydent raczy żartować.

Rojenia głowy państwa o nierozerwalności, trwałości i długoterminowej odpowiedzialności małżeństwa w kraju, w którym wskaźnik rozwodów sięga 40 proc. liczby zawieranych małżeństw, zdradzają elementarne niezrozumienie świata, w jakim się żyje. Jeżeli dodamy do tego prezydenckie bajdurzenie o małżeństwie jako fundamencie przetrwania narodu, to mamy pełny obraz nawrockiego imaginarium.

Czytam tę ustawę, by choć spróbować zrozumieć postępowanie prezia, i nijak nie mogę dojść do tych samych wniosków, do których on doszedł. Ustawa, nazywana przez środowiska aktywistów LGBT ustawą współlokator plus, jest jałmużną dla zainteresowanych (głównie społeczności LGBT), tworząc coś na kształt quasi-związku partnerskiego. Nie tylko nie ustanawia niczego podobnego do małżeństwa, ale wręcz urąga godności tych par, oferując im coś, co mówi wprost, że ich związki są gorsze i nie zasługują na wsparcie państwa.

W ogonie Europy

Prezydent postępuje nieroztropnie, wetując tę ustawę. Po pierwsze, bo pokazuje dużej grupie obywateli państwa, którego jest głową, że ma ich gdzieś. A po drugie, bo robi nam wstyd na całą Europę. A Europa już od dawna mówi Polsce, co sądzi o homo-, bi- i transfobicznych postawach władców Najjaśniejszej. W rankingu państw przyjaznych osobom LGBT publikowanym co roku przez organizację ILGA Europe szorujemy po dnie zarówno w skali Unii Europejskiej, jak i całego kontynentu. Co prawda obecnie Rzeczpospolita awansowała o jedno oczko, ale nie dlatego, że u nas zrobiło się jakoś drastycznie lepiej, tylko dlatego, że w Bułgarii zaczęło być gorzej. W UE zajmujemy dziś 25. miejsce, trzecie od końca przed Bułgarią i Rumunią. A w całej Europie przewyższamy co prawda m.in. Turcję, Białoruś, Rosję czy Azerbejdżan, ale lepsze warunki do życia osoby LGBT mają na Ukrainie, w Albanii, Mołdawii, Kosowie, Serbii, Macedonii Północnej, Czarnogórze, Bośni i Hercegowinie… Na 49 sklasyfikowanych państw lądujemy na 39. miejscu.

Na początku lipca Najjaśniejsza przerżnęła kolejny proces przed Euro-



Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl e85c9b743a

Polscy politycy nie pojadą na wakacje

Kto ogra prezesa ?



Siedem dni prezes dał prezes Kaczyński członkom swej partii na podpisanie przygotowanego im oświadczenia. Deklaracji, że wyrzekają się wszelkich stowarzyszeń i organizacji o charakterze politycznym.

Jak żywo przypomina ona popularny w średniowieczu „Akt wyrzeczenia się wszelkich kontaktów z Szatanem oraz praktyk okultystycznych". Wtedy najsilniej ścigano wróżbiarstwo i magię. Czyli prognozy przyszłości oraz próby wpływania na bieg dziejów.

Pierwszy na apel prezesa odpowiedział poseł Jacek Sasin, ogłaszając publicznie rezygnację z członkostwa w stowarzyszeniu „Po pierwsze Polska". Za takie przodownictwo w pracy partyjnej zyskał szyderstwa mediów i partyjnych kolegów. Tytuł Pierwszego Lizusa Prezesa.

Kpiono, że Sasin odrzucił hasło „Po pierwsze Polska" na rzecz „Po pierwsze Prezes". Przypomniano, że wystąpienie Sasina z tego stowarzyszenia niewiele zmienia, bo „Po pierwsze Polska" nie grzeszyło aktywnością.

A także, że podsuwana parlamentarzystom PiS deklaracja w rzeczywistości dotyczy Stowarzyszenia Rozwój Plus kierowanego przez Mateusza Morawieckiego. Aktywnego, przyciągającego liczne grona bezpartyjnych sympatyków centroprawicy.

To dla nich Morawiecki i jego stowarzyszenie organizują 31 lipca wypasioną imprezę integracyjną. Grilla politycznego. Cykl dyskusji na najważniejsze dla centroprawicy tematy połączone z występami artystów i celebrytów oraz wyżerkę i popijawkę. Podobną do wyjazdów integracyjnych organizowanych przez wielkie firmy dla zatrudnionych tam korpoludków.

Pan prezes wyznaczył na 23 lipca 2026 r. ostateczny termin składania aktów wyrzeczenia się. Podpisanie ich przez Mateusza Morawieckiego i jego drużynę oznaczałoby też rezygnację z zapowiedzianego już grilla.

Kto zawinił?

Mateusz Morawiecki wie, że grilla odwołać nie może. Bo straciłby swą wiarygodność politycznego lidera. Ale tego argumentu w mediach używać nie chce. Zapewne brak rezygnacji tłumaczyć będzie przede wszystkim względami finansowymi. Podpisanymi już umowami najmu sal, obsługi technicznej, kateringu. Wypłaconymi zaliczkami i karami umownymi grożącymi w razie zerwania umów. Takie argumenty przekonają nawet niechętnych byłemu premierowi.

Podobnych, też finansowych, argumentów używa prezes Kaczyński, wzywając swych członków do stowarzyszeniowego celibatu. Twierdzi, że wroga wobec PiS i podstępna w swych działaniach obecna Państwowa Komisja Wyborcza czeka tylko na pretekst, aby znowu pozbawić PiS dotacji finansowych z budżetu państwa. Tak jak już wcześniej uczyniła.

Teraz PKW może zarzucić partii Kaczyńskiego, że prowadzi ona ukrytą kampanię wyborczą posługując się politycznymi stowarzyszeniami.

Ich wydatki, choćby na takiego politycznego grilla 31 lipca, nie są wliczane do obowiązujących partie polityczne limitów kampanijnych wydatków. Podobnie źródła finansowania takich wydatków w przypadku stowarzyszeń nie są tak surowo limitowane i rozliczane, jak w przypadku partii politycznych.

Dlatego kiedy Morawiecki proponuje swym zwolennikom integracyjnego grilla, jego przeciwnicy w PiS wzywają prezesa do grillowania Morawieckiego. Aby nie mógł już dłużej w PiS wytrzymać i sam wystąpił z tej partii.

Ale sprytny knuj polityczny Mateusz Morawiecki nie chce być okrzyknięty w mediach złym rozłamowcem. Wie, że wyborcy nie lubią takich.

Jak być kochanym?

Zapewne Morawiecki marzy o tym, aby zostać wyrzuconym z PiS. Ale jeszcze nie teraz. Optymalnym terminem byłby przełom 2026/2027. Kiedy trwająca już kampania wyborcza nabierze zwyczajowego tempa. Kiedy będzie miał czas na prezentację swego nowego pomysłu politycznego. Kiedy jesienny termin wyborów parlamentarnych 2027 r. sprawi, że jego inicjatywa polityczna zachowa efekt nowości. Zwabi tym kolejną falę „ciemnego ludu" wyborczego. Dlatego Morawiecki deklaruje teraz w mediach swą nienaganną lojalność wobec prezesa i PiS.

„Jeszcze się nie urodził taki intrygant, który podzieli mnie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim" – napisał w internecie po swym kolejnym spotkaniu z prezesem. Dodał też: „Donald Tusk po raz kolejny liczył na to samo: że prawica zajmie się sama sobą. Że intryga i plotki zrobią za niego polityczną robotę. Nie doczeka się". Przywalił we wrażego Tuska jak prawdziwy pisowski czekista. Partyjny obowiązek wykonał.

Nie zapomniał też o pozytywnym przekazie. Zadeklarował, że podstawowym obowiązkiem PiS jest „zjednoczyć wszystkie środowiska, którym zależy na silnej, bezpiecznej i ambitnej Polsce. To nie jest nasza słabość. To jest nasza siła. Przeciwnik jest jeden. Dlatego wszystkie ręce na pokład. Razem już pokazaliśmy, że potrafimy wygrywać wybory i dobrze rządzić. Zrobimy to ponownie. Polska wygra wtedy, gdy patrioci będą budować mosty między sobą, a nie mury"…

Wspomaga go poseł PiS Krzysztof Szczucki. Przypomniał, że PiS miało być partią „dwóch płuc". Oraz, że on i jego koledzy nie chcą być jedynie kopią konfederackiej Korony Grzegorza Brauna.

Dlatego PiS powinien być partią centroprawicową. I otwartą na nowe programy i ośrodki decyzyjne. Bo teraz „na konwencjach PiS dyskutuje się i dyskutuje, a potem prezes i tak decyduje" wedle swego uznania.

Zapewne prezes Kaczyński wie, że rozłam w PiS jest nieunikniony. Ale chce kontrolować jego przebieg, aby ograniczyć przyszłe polityczne straty. Zachować panowanie nad swą partią.

Dlatego podtrzymał ultimatum zakazujące swym członkom przynależności do stowarzyszeń o „charakterze politycznym". A w razie odmowy, uruchamianie „procedury wykluczenia z partii".

Jednocześnie – widząc kolejną falę medialnych ostrych, czasem chamskich, pyskówek pomiędzy „maślarzami" i „morawianami", dostrzegając wzrastające poparcie w PiS dla „morawian", listy podpisywane w ich obronie – postanowił ostudzić rebelianckie nastroje. Dla ich uspokojenia zaproponował każdemu z wojujących „szklankę zimnej wody".

Kto się ucieszy ?

Dalsze wydarzenia wymusi kalendarz wyborczy. W czwartek 23 lipca 2026 r. upływa termin ultimatum prezesa. Termin ostatniego, przedwakacyjnego posiedzenia Sejmu RP zwołano na 29 lipca. W sierpniu tego roku sejm posiedzeń nie planuje. Do obrad parlamentarzyści wracają zaraz po 1 września.

Ale w tym roku parlamentarzyści nie będą mieć normalnych wakacji. Ci z Nowej Lewicy już objeżdżają Polskę, przypominając o swych dokonaniach. Aktyw Koalicji Obywatelskiej ma podobne plany i o wiele więcej pieniędzy na to. W Polskę pójdą też konfederaci wszelkiej maści. Ludowcy szykują się do lansu podczas licznych uroczystości dożynkowych.

W blokach startowych pozostaje jedynie aktyw PiS zajętych walką frakcji „maślarzy" z „morawianami" lub kibicowaniem im.

Tak dalej być nie może. Jakiś przełom, przełomik choćby, nastąpić musi. Zapewne Morawiecki i jego drużyna nie wyrzekną się Stowarzyszenia Rozwój Plus. Przeciwnie, uczynią wszystko, aby uczynić z grilla 31 lipca wielkie, medialne wydarzenie. Jednocześnie „morawianie" będą starać się unikać eskalowania konfliktów w PiS. A także konfliktów z konfederatami Mentzena i Bosaka. Z PSL podobnie. Będą też czekać na ruchy prezesa Kaczyńskiego. Ten będzie musiał wypić niejedną szklankę wody. Zapewne uruchomi „procedury wykluczenia z partii" wobec niepokornych „morawian".

Ale młyny sprawiedliwości PiS mogą mielić powoli i selektywnie. Nie wszyscy buntownicy muszą być od razu wyrzuceni z Partii. Jedni mogą otrzymać upomnienia, nagany i czas do namysłu. W partyjnym czyśćcu. Tych najbardziej zapiekłych można ukarać szczególnie okrutnie. Nadać im status „zawieszonego członka partii". A to już przedsionek partyjnego piekła. Morawiecki, jako „członek zawieszony", to piękny pretekst do szyderstw z niego w mediach. Ośmieszający kandydata na wodza polskiej centroprawicy.

Jednak na wojnie w PiS, jak każdej domowej, stracą wszyscy. Najbardziej prezes Kaczyński. Bo zostać mu może poparcie tylko „maślarzy" Sasina i Czarnka. Najgłupszych politycznie. Mistrz zakłamywania rzeczywistości Morawiecki przeczeka nawet piekło PiS, a potem pójdzie na swoje nieźle politycznie poobijany. Największe korzyści zbierze prezydent Nawrocki. Sprawnie udając swą neutralność i dystans wobec obecnych wojen na prawicy. Poczeka, aż wojujący wykrwawią się politycznie i wiosną 2027 r. rzuci ideę zjednoczenia prawicy. Od „morawian" po „braunowców". Wspólną listę do Senatu RP. Błogosławieństwo i wsparcie dla podobnej koalicji parlamentarnej w Sejmie RP. To Nawrocki zostanie prezesem wszystkich prezesów. Także zdegradowanego prezesa Kaczyńskiego.

W Wietnamie mawiają, że nie ma niczego gorszego, niż umrzeć mentalnie jeszcze za życia. Degradacja polityczna to ziemskie piekło prezesa Kaczyńskiego. Śmierć pomimo dalszego życia.

W ciągu siedmiu dni judeochrześcijański bóg miał stworzyć nam świat. Siedem dni dał sobie i swym członkom prezes Kaczyński na przywrócenie jedności w PiS i jego tam panowania. Czy prezesowi też się uda?

PIOTR GADZINOWSKI



pejskim Trybunałem Praw Człowieka. Tym razem przeciwko naszej umiłowanej ojczyźnie wystąpiła mieszkająca w Wielkiej Brytanii Polka wraz ze swoim dzieckiem, któremu odmówiono w Polsce transkrypcji brytyjskiego aktu urodzenia (a tym samym przyznania polskiego obywatelstwa), bo w oryginalnym dokumencie jako drugi rodzic figuruje partnerka matki, też zresztą Polka. Rzeczpospolita numer trzy nie ma więc wyjścia i musi uznać polskie bachorzę mające dwie matki. A na dodatek, jak orzekł ETPC, będzie musiała bachorzęciu zabulić pięć kafli euro.

To kolejny „sukces" Polski na niwie przestrzegania praw obywatelskich, a praw osób LGBT w szczególności. Bardzo wymowny zwłaszcza wobec niedawnych orzeczeń – zarówno ubiegłorocznego wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), jak i tegorocznych wyroków polskich sądów – w sprawie transkrypcji aktów małżeństw zawartych przez pary jednopłciowe za granicą. Warto przypomnieć także, że już w grudniu 2023 r. ETPC nakazał Polsce uregulowanie sprawy związków jednopłciowych. Przez te trzy lata można było zrobić bardzo dużo, a nie zrobiono nic. Rzec by można, że Polska niczego nie uczy się na swoich własnych błędach.

III RP przegrała już wszystko, co do tej pory w tej dziedzinie do przegrania było i będzie przegrywać dalej, jeśli nie zmieni stosunku do swoich tęczowych obywateli. A że nie zmieni, to niemal pewne.

Pokazali to zarówno koalicjanci, wypuszczając z sejmu ustawę urągającą godności osób LGBT, jak i prezydent, nie podpisując jej.

W jednym zdaniu

Donald Tusk chodzi wkurwiony, pozostali prominentni politycy koalicji – również, a środowiska LGBT kipią złością zarówno na prezydenta, jak i na koalicję rządzącą. „Prezydenckie weto to wyraz pogardy wobec ludzi i ich prawa do szczęścia i normalnego życia" – napisał na platformie X premier. O tym, że wyrazem pogardy wobec ludzi i ich prawa do szczęścia i normalnego życia było zredukowanie równości małżeńskiej do statusu osoby najbliższej w związku, już nie wspomniał. A szkoda, bo jakkolwiek ostatecznie niewejście tego prawa w życie obciąża Nawrockiego, to jednak uchwaloną przez sejm ustawę społeczność LGBT traktuje na ogół jako wyraz kapitulacji rządu wobec konserwatywnej wizji rzeczywistości oraz wystawienie do wiatru wyborców, którzy w 2023 r. dali jej spory kredyt zaufania.

Przeciwko niezrozumiałemu ruchowi Nawrockiego występują jednak także katoliccy duchowni. Przynajmniej niektórzy. „Szkoda, że prezydent zawetował tę ustawę. Nie było w niej nic, co by zagrażało rodzinie" – skomentował decyzję prezydenta na Iksie jezuita Łukasz Sośniak. To ważny sygnał: że szeroko rozumiana mentalność konserwatywna nie musi oznaczać ideologicznego potępienia osób LGBT i wiecznego robienia im koło pióra. Bo chociaż Nawrocki był uprzejmy zauważyć, że ustawa ta jest „ideologiczną presją" – podając to jako jeden z argumentów przeciwko jej podpisaniu – to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że całe jego uzasadnienie weta to ideologiczne pieprzenie, byle tylko nie podpisać czegoś, co choć minimalnie zrobiłoby dobrze tym paskudnym elgiebetom.

Prawacki komentariat w społecznościówkach na ogół broni prezia i jego decyzji, a nawet dopatruje się w tym wecie winy Tuska. Argumentacja prawaków przebiega mniej więcej tak: Nawrocki deklarował gotowość do wypracowania rozwiązania o statusie osoby najbliższej, ale rząd z nim nie rozmawiał, tylko stworzył własną ustawę. Gdyby Tusk współpracował z prezydentem... itd., itp. Powołują się na analogiczny przykład z ustawą o kryptowalutach. No cóż, trudno doprawdy odgadnąć, jakimi ścieżkami błądzą myśli prawaków, ale nic na to nie poradzimy.

Nie wiem, co musiałoby się stać i jaką treść ustawy trzeba by przygotować, skoro tę pan prezydent jest łaskaw uważać za niedopuszczalną konkurencję dla małżeństwa. Staram się ją sobie wyobrazić i wychodzi mi, że musiałaby ona zawierać się w jednym zdaniu: „Dwie dorosłe osoby mogą mieszkać razem i żyć ze sobą bez żadnych wynikających z tego praw i obowiązków". No, ale to akurat już można w Rzeczypospolitej robić i to bez żadnej ustawy oraz prezydenckiego błogosławieństwa. Więc łaska Nawrockiego w tym względzie nie jest nikomu do niczego potrzebna.

EDYTA BAKER

eprasa.pl e85c9b743a

Trupy do urn

Zmarli nie głosują. Ale pomagają wygrać.

Co jest ważniejsze: wizyta na grobach zmarłych bliskich czy jakość życia i bezpieczeństwo tych, którzy jeszcze żyją? Bezpieczeństwo twoich dzieci? Zdrowie rodziców? Wasza praca, mieszkanie i przyszłość? Wstyd pytać. Odpowiedź powinna być oczywista.

Pamięć o zmarłych jest ważna. Prawo rodzin do odnalezienia grobów, ekshumacji, poznania nazwisk ofiar i godnego pochówku nie podlega dyskusji. Ale zmarłym nie zapewnimy już ani lekarza, ani pokoju, ani lepszej emerytury. Możemy dać im prawdę i szacunek. Wielu oprawców po tylu latach już nie osądzimy. Żywym jesteśmy winni znacznie więcej.

Tymczasem narodowa polityka historyczna odwraca tę hierarchię. Potrafi wśród oprawców odnaleźć bohaterów, a nad trumnami ofiar wskazywać nie dawnego, lecz dzisiejszego wroga – i rozpętywać nową nienawiść, niezbędną politykom grającym nacjonalizmem.

Nacjonalizm, ale cudzy

Kult UPA, order Orła Białego i wzajemne złośliwości składają się na historyczny bigos, który codziennie odsmażają politycy obu państw, przy wydatnym wsparciu znacznej części komentariatu.

Zełenski zagrał kartą UPA, bo w kraju prowadzącym wyniszczającą wojnę symbole narodowego oporu są politycznym paliwem najwyższej jakości. Można przypuszczać, że zrobił to także z myślą o ewentualnym zawieszeniu broni i przyszłych wyborach prezydenckich, w których może stanąć naprzeciw popularnego generała Walerija Załużnego. Zrobił to oczywiście ze świadomością, czym UPA jest dla Polek i Polaków.

Nawrocki, ogłaszając odebranie orderu, także zatankował polityczne paliwo – na drogę po sukcesję po Kaczyńskim. Żaden z nich nie może się dziś łatwo wycofać. My możemy przynajmniej nie pozwolić, by ich polityczne paliwo spaliło nasze interesy.

Prezydent Polski zapewnia, że nie oskarża całego narodu ukraińskiego, lecz potępia „ideologię UPA". Bardzo słusznie. Tylko jaką właściwie ideologię? Etniczny nacjonalizm? Walkę narodowo-wyzwoleńczą? Bo nie mogę uwierzyć, że historyk z doktoratem chciał wołyńskie zbrodnie UPA nazwać ideologią.

I kto to mówi? Polityk, którego własne środowisko także żywi się narodowym wzmożeniem, świętą polskością, kultem siły, historyczną krzywdą oraz przekonaniem, że naród jest niewinny z definicji – o ile jest naszym narodem. Cudzy nacjonalizm nazywamy ideologią zbrodni. Własny – patriotyzmem, polityką historyczną i wychowaniem młodzieży.

Nie znaczy to, że polski i ukraiński nacjonalizm popełniły identyczne zbrodnie. Oczywiście nie. Znaczy jedynie, że działają według tego samego schematu myślenia: własne cierpienie jest święte, cudze podejrzane; własna przemoc była koniecznością, cudza – dowodem barbarzyństwa; własne groby są historią, cudze – propagandą.

Niewinna Polska z gumką do historii

W polskiej opowieści konflikt polsko-ukraiński często zaczyna się w 1943 r. Tak jakby wcześniej niczego nie było. Polacy po prostu mieszkali sobie na Kresach, pili herbatę, czytali Sienkiewicza i nikomu nie przeszkadzali. Aż pewnego ranka z lasu wyszła zła ideologia.

Tyle że historia nie zaczęła się wtedy, kiedy jest nam wygodnie. Jeżeli chcemy mówić o wcześniejszej dominacji polskiego żywiołu państwowego, narodowego, kulturowego i religijnego nad ludnością zamieszkującą ziemie dzisiejszej Ukrainy, musimy rozdzielić kilka epok. Najwyraźniej można o niej mówić w odniesieniu do lat 1918–1939, ale także – w zupełnie innym kontekście – do dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zwłaszcza po Unii Lubelskiej.

W Rzeczypospolitej szlacheckiej istniała dominacja stanu szlacheckiego, polonizacja elit, przewaga katolicyzmu, konflikt wokół unii kościelnej oraz system folwarczno-pańszczyźniany. Nie był to oczywiście nowoczesny konflikt dwóch państw narodowych. Dla wielu Rusinów oznaczał jednak podporządkowanie społeczne, religijne i kulturowe, szczególnie na ziemiach dzisiejszej zachodniej Ukrainy.

W II Rzeczypospolitej polskie państwo objęło duże obszary zamieszkane przez Ukraińców, zwłaszcza Galicję Wschodnią i Wołyń. Trwał tam silny konflikt o granice, szkoły, administrację i reprezentację polityczną. Państwo ograniczało ukraińskie szkolnictwo, prasę i życie publiczne, wywierało presję asymilacyjną i stosowało represje policyjne wobec działaczy uznawanych za zagrożenie.

W sferze religijnej i kulturowej konflikt dotyczył uprzywilejowania polskiej kultury katolickiej, presji na ludność prawosławną oraz ograniczania swobody Cerkwi greckokatolickiej. W praktyce oznaczało to nacisk na język, szkołę, administrację lokalną i widoczność ukraińskiej tożsamości w przestrzeni publicznej.

Na ziemiach dzisiejszej zachodniej Ukrainy utrzymywał się również model własności ziemskiej, w którym dużą część większych majątków posiadali polscy właściciele, a ludność ukraińska lub rusińska częściej należała do chłopstwa, dzierżawców i pracowników rolnych. Było to dziedzictwo Rzeczypospolitej szlacheckiej, które przetrwało XIX w. i weszło w XX stulecie.

Po rozpadzie Austro-Węgier Ukraińcy utworzyli Zachodnioukraińską Republikę Ludową. W listopadzie 1918 r. wybuchła wojna polsko-ukraińska o Lwów i Galicję Wschodnią. Lwów, w którym większość mieszkańców stanowili Polacy, stał się głównym polem walk. Ukraińcy tę wojnę przegrali.

Polonizacja i katolicyzacja

W lipcu 1919 r. cała Galicja Wschodnia znalazła się w polskich rękach, a ziemie zamieszkane w znacznej części (miejscami w większości) przez ludność ukraińską weszły w skład II Rzeczypospolitej. Polska nazywała to odzyskaniem Kresów. Wielu Ukraińców – okupacją. Jak zwykle nazwa zależała od tego, kto trzymał mapę, urząd i karabin.

W II RP żyło ok. 5 mln Ukraińców – mniej więcej 16 proc. mieszkańców państwa. W województwie stanisławowskim stanowili 68,9 proc. ludności, a w wołyńskim – 68,4 proc.

Polska władza sprowadzała na te tereny osadników z centralnej Polski. Do Galicji Wschodniej przybyło około 200 tys. Polaków, a na Wołyniu osadzono około 18 tys. kolonistów wojskowych, którym przydzielono 55 tys. hektarów ziemi. Nawet opracowanie Instytutu Pamięci Narodowej przyznaje, że budziło to wśród ukraińskich chłopów, cierpiących na głód ziemi, poczucie krzywdy i wrogość.

W 1924 r. uchwalono ustawy prowadzące do dominacji polszczyzny w urzędach i polonizacji szkolnictwa. Liczba szkół z ukraińskim językiem nauczania w Galicji Wschodniej spadła z 3662 w 1919 r. do 144 w roku 1939. Powtórzę, bo liczba jest wymowna: z 3662 do 144. Nie podaje tego ukraińska ulotka propagandowa. Podaje Instytut Pamięci Narodowej.

W 1930 r. polskie władze przeprowadziły tak zwaną pacyfikację, stosując odpowiedzialność zbiorową. Policja i wojsko wchodziły do setek ukraińskich wsi, biły osoby podejrzane o sprzyjanie nacjonalistom – w tym kobiety, księży, uczniów – przeprowadzały niszczycielskie rewizje, uszkadzały budynki i marnowały żywność. Według oficjalnych danych zatrzymano 1739 osób. Jak przyznaje IPN, długotrwałym skutkiem tej operacji był wzrost nienawiści do Polaków oraz popularności Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

W 1938 r. polskie władze przystąpiły do przyśpieszonej polonizacji. Zalecono usuwanie Ukraińców ze służby państwowej, próbowano narzucić język polski jako liturgiczny w Cerkwi prawosławnej, a na Lubelszczyźnie zniszczono prawie 200 cerkwi i kaplic

– nieczynnych albo uznanych przez władze za nielegalnie obsadzone przez duchownych prawosławnych. Akcji towarzyszyła prowadzona przez wojsko polityka przymusowego nawracania ludności prawosławnej na katolicyzm.

To była polityka opresji narodowej, społecznej, językowej i religijnej. Można ją nazywać integracją państwa. Można polonizacją. Niektórzy nazywają ją okupacją. Nie można natomiast uczciwie twierdzić, że przed rokiem 1943 niczego nie było.

Zbrodnia nie jest rachunkiem wyrównawczym

Żadna z tych rzeczy nie usprawiedliwia rzezi polskiej ludności cywilnej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Nie istnieje polityka szkolna, pacyfikacja ani narodowa krzywda, która daje prawo do mordowania bezbronnych sąsiadów. Nie da się usprawiedliwić ludobójstwa. I ta zasada działa również w drugą stronę. Zbrodnie UPA nie rozgrzeszają państwa polskiego z wcześniejszej opresji. Mordy dokonane na Polakach nie zamieniają każdej polskiej decyzji w sprawiedliwą, a każdej ukraińskiej krzywdy w antypolską propagandę.

Nie da się także usprawiedliwić politycznie motywowanej decyzji Zełenskiego gloryfikującej UPA. Państwo, które toczy wojnę z rosyjskim agresorem, nie może budować swojej tożsamości na formacji obciążonej masowymi mordami ludności cywilnej.

Nawrocki zaś, zamiast urządzać publiczny spektakl odbierania Zełenskiemu orderu, mógł postąpić znacznie mądrzej. Mógł zainicjować – jak zaproponował Marcin Giełzak – budowę w Warszawie, w pobliżu ambasady Ukrainy, pomnika poświęconego Ukraińcom, którzy ratowali Polaków, Żydów, Ormian i Czechów przed sprawcami ludobójstwa wołyńsko-galicyjskiego. W ten sposób świat, który wie o tej zbrodni niewiele, dowiedziałby się, na czym polega istota polsko-ukraińskiego problemu. Można było wyjść z tego z klasą i z dobrą perspektywą na przyszłość. Stałoby się jasne, że na upamiętnienie zasługują nie mordercy z UPA, lecz Ukraińcy, którzy ratowali sąsiadów oraz wszyscy ci, którzy nie mieli z tą zbrodnią nic wspólnego.

Ekshumacje, pochówki, ustalanie nazwisk i prawda historyczna są potrzebne. Natomiast odwet orderowy, publiczne upokarzanie Ukraińców i konkurs na większe narodowe oburzenie nie przybliżają ani odnalezienia choćby jednego grobu, ani perspektywy pokojowego współistnienia sąsiadujących narodów.

Pamięć powinna pomagać żywym, by nie powtarzali dawnych zbrodni. Kiedy zaczyna służyć do wygrywania wyborów, staje się kolejną bronią. Jeden nacjonalizm podaje amunicję drugiemu, a politycy potem zgodnie udają, że gaszą pożar, który sami podpalili.

Groby są miejscem żałoby. Nie lokalem wyborczym.

ANNA GRODZKA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rosnąca nienawiść wobec Ukraińców

Sytuacja przedpogromowa?

Dokładnie 80 lat po haniebnym pogromie kieleckim pojawiło się w przestrzeni publicznej fundamentalne pytanie, które zawdzięczamy prof. socjologii z UW Przemysławowi Sadurze: czy nastroje w naszym kraju wobec Ukraińców nie są przedpogromowe?

Nie jest łatwo na nie rzeczowo odpowiedzieć.

Zmiana nastrojów

Nie sposób nie zauważyć plenienia się jak chwasty przemocy wobec Ukraińców. A to jakaś kobieta wyzywa i szarpie Ukrainki na ulicy, a to jakiś typ okłada ich kijem bejsbolowym. Znamienne, że obrońcy rodzimej szlachetności podkreślają, że zwykle agresji dokonują osoby mniej lub bardziej pijane, lecz to tylko marna wymówka. Zgodnie z teorią Zygmunta Freuda skrajne zachowania od zachowań „normalnych" różnią się tylko stopniem nasilenia. Świadczą o tym twarde dane statystyczne.

Press Club Polska i Data House Res Futura opublikowały wyniki monitoringu dyskusji w mediach społecznościowych między 1 a 21 czerwca. Objęła 754 tys. wpisów dotyczących Ukrainy i Ukraińców, które wygenerowały powyżej 10 mln reakcji i komentarzy. Po odrzuceniu wpisów neutralnych aż 90 proc. opinii o Ukraińcach w Polsce miało charakter negatywny.

Jak wiadomo, mordowanie w pogromach Żydów przez Polaków było w dużej mierze pokłosiem szowinistycznej i antysemickiej propagandy, w czym celowali nacjonaliści. Zoologicznym antysemitą – zwłaszcza po tym, jak głosami Żydów przegrał wybory do Dumy w carskiej Rosji – był Roman Dmowski. Jak pisze Adam Leszczyński w „Ludowej historii Polski", Dmowski „wyliczał trzy możliwe rozwiązania »problemu żydowskiego«: Żydów można było zasymilować, wypędzić lub wymordować. Z tych rozwiązań tylko pierwsze uważał za niedorzeczne".

Niepokoi mnie, że coraz więcej głosów opowiada się mniej lub bardziej jawnie za opcją wypędzenia Ukraińców. Bo wiadomo, że to wschodnia swołocz, więc nie dadzą się oni „zasymilować". A skoro ogromna rzesza Ukraińców stąd nie wyjedzie, w małych główkach rodzimych narodowców może zrodzić się myśl, że trzeba im „dopomóc" w podjęciu tej decyzji w każdy możliwy sposób, nie wyłączając kopniaków i pięści. Na razie „dopomagają" władze, wyrzucając z kraju Ukraińców nawet za drobne wykroczenia…

Polski narcyzm narodowy

Sadura w napisanym razem z dr Oleną Babakową raporcie „Nie jesteśmy w domu. Ukraińscy migranci i uchodźcy o relacjach z Polakami", wspomina o polskim narcyzmie narodowym, przejawiającym się w metamorfozie relacji polsko-ukraińskich po 2022 r.

eprasa.pl e85c9b743a

Ratujmy dezerterów

Państwowy tytuł własności ciał



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ponieważ jestem socjalistą nad Wisłą, to i patriotą – choć swój patriotyzm kieruję wobec Rzeczypospolitej: na razie wyobrażonego państwa wolnych ludzi, a nie jakiejś, za przeproszeniem, Polski, która zawsze jest tylko dla Polaków. Raczej na pewno za dużo przebywam w swojej głowie, ale cóż robić, gdy na Ukraińców już szczuć można, a co do wschodnich modeli cywilizacyjnych człowiek nieco sceptyczny? Znów trzeba przetrwać.

Ukraińcy okazali się niewdzięczni. To było do przewidzenia. Przyjechali, kiedy spadały na nich bomby, zabrali pracę, której nikt nie chciał, wynajęli mieszkania, na które nikogo nie stać, a niektórzy nawet zaczęli mówić po polsku. Człowiek przyzwoity nie powinien tak ostentacyjnie urządzać sobie życia po ucieczce z kraju ogarniętego wojną. Powinien przez cały czas wyglądać na uchodźcę, najlepiej smutnego, cichego i gotowego do przyjęcia polskiej obelgi z uśmiechem.

Niewdzięczni okazali się również ci, którzy zostali. Giną od rosyjskich rakiet, siedzą w okopach, tracą nogi, ręce i kolegów, a mimo to wojna nadal trwa. Wyraźnie więc giną za mało skutecznie.

Jeszcze gorzej wypadają ci, którzy ginąć nie zamierzają. Mężczyźni w wieku poborowym, czyli stworzenia pozbawione indywidualnych biografii, rodzin, chorób, lęków oraz własnego zdania. W chwili osiągnięcia odpowiedniego wieku człowiek zamienia się przecież w ruchomość państwową. Można go spisać, wezwać, umundurować i wysłać tam, gdzie statystycznie powinien wytrzymać kilka tygodni.

Gdy jednak taki przyszły bohater wybiera magazyn pod Poznaniem zamiast okopu pod Pokrowskiem, natychmiast staje się dezerterem. Słowo to załatwia wiele spraw. Nie trzeba już pytać, przed czym uciekł, kogo zostawił, czego się boi ani czy ma ochotę umrzeć za wspaniałe majątki oligarchów. Dezerter nie jest człowiekiem, lecz wadą charakteru poruszającą się na dwóch nogach. Można go zawstydzić, pozbawić ochrony, a najlepiej zwrócić właścicielowi.

Właścicielem jest państwo. Pogląd ten podzielają ludzie, którzy w innych okolicznościach bardzo dużo mówią o wolności. Wolny człowiek może prowadzić firmę, kupić trzy mieszkania, nie płacić podatków i obrażać mniejszości. Nie może natomiast uznać, że nie chce zostać trafiony pociskiem artyleryjskim. Wtedy wolność kończy się jak droga gminna przy poligonie.

Oczywiście Rosja napadła na Ukrainę. Odpowiedzialność za tę wojnę spoczywa na rosyjskim państwie, armii i tych, którzy wysyłają ją na cudze terytorium. Nie ma tu potrzeby tworzenia symetrii, ważenia win ani opowiadania o geopolitycznych niuansach. Rosyjski imperializm jest dość widoczny bez lupy.

Nie wynika z tego jednak, że każdy ukraiński mężczyzna ma obowiązek umrzeć – to podobno zdanie kontrowersyjne, ponieważ wojna psuje ludziom zdolność odróżniania agresora od ofiary, a ofiary od obywatela. Państwo napadnięte otrzymuje w takim rozumowaniu nie tylko prawo do obrony, ale również tytuł własności do wszystkich ciał znajdujących się w jego rejestrach.

Rozumiem człowieka, który idzie walczyć. Może broni domu, rodziny, języka albo grobu dziadka. Może uważa, że inaczej nie potrafiłby ze sobą żyć. Nie zamierzam odbierać mu odwagi ani pouczać go z bezpiecznego miejsca, że powinien wybrać pacyfizm.

Nie widzę jednak powodu, dla którego jego odwaga miałaby służyć za kij na innego człowieka. Bohaterstwo ma sens tylko wtedy, gdy jest wyborem. Wymuszone przestaje być bohaterstwem, a staje się obowiązkiem służbowym z wysokim ryzykiem śmierci.

Dezerter może być tchórzem. Tchórzostwo nie jest jednak zbrodnią zasługującą na rozerwanie przez drona. Może też być pacyfistą, ojcem, opiekunem chorej matki, człowiekiem po operacji albo kimś, kto zwyczajnie chce dożyć czterdziestki. Wszystkie te powody są wystarczająco ludzkie.

Właśnie dlatego dezerterów trzeba ratować. Także przed ukraińskim państwem, kiedy domaga się ich powrotu. Brzmi to paskudnie w kraju, w którym każda próba obrony Ukraińca przed przemocą własnego państwa zostanie zaraz uznana za prezent dla Putina.

Ratowanie dezerterów może osłabiać ukraińskie zdolności mobilizacyjne. Nie ma sensu udawać, że nie. Wojsko potrzebuje ludzi, a człowiek, który otrzymał ochronę w Polsce, nie znajdzie się w jednostce. Między interesem armii a interesem człowieka istnieje zatem konflikt, którego nie da się przykryć flagą.

Socjalista powinien w takim konflikcie wiedzieć, gdzie stoi. Nie po stronie sztabu, tabeli strat i rubryki „uzupełnienia", lecz po stronie człowieka, nawet jeśli zachowuje się on mało pomnikowo.

Zwłaszcza wtedy.

Pomniki zawsze znajdą obrońców. Żywy tchórz ma ich znacznie mniej.

Europa lubi prawa człowieka, dopóki pozostają ozdobnym napisem nad wejściem. Kobieta uciekająca przed wojną budzi współczucie. Dziecko należy ratować. Starzec również może zostać. Mężczyzna zdolny utrzymać karabin zaczyna jednak rodzić pytania. Nagle okazuje się, że ochronę należy przyznawać według przydatności wojskowej. Nie jest to już pomoc uchodźcom, lecz selekcja zasobów. Tych, których nie da się wykorzystać, można uratować. Pozostali powinni wrócić do obiegu. W ten sposób humanitaryzm dochodzi do granicy wieku poborowego.

Polska zna ten sposób myślenia doskonale: człowiek istnieje tu dla narodu, naród dla państwa, a państwo dla tych, którzy akurat je zajęli. Jednostka może liczyć na prawa, pod warunkiem że nie przeszkadza większej sprawie.

Moja Rzeczpospolita – ta na razie wyobrażona – nie wydawałaby ludzi komisjom wojskowym. Nie sprawdzałaby przy przedłużaniu pobytu, czy uchodźca ma jeszcze obie ręce i odpowiedni rocznik. Nie pytałaby, dlaczego nie walczy, skoro jego koledzy walczą. Cudze poświęcenie nie tworzy przecież obowiązku samobójstwa. Zapewne byłoby to niebezpieczne. Politycznie, dyplomatycznie i moralnie. Łatwiej wspierać państwo, niż chronić człowieka przed państwem. Łatwiej też wysłać na front Ukraińca, niż wyobrazić sobie tam własnego syna.

Tym bardziej trzeba to powiedzieć. Człowiek nie jest amunicją opatrzoną numerem paszportu. Państwo może prosić go o poświęcenie, może próbować go przekonać – nie powinno jednak mieć prawa do jego śmierci. Ani rosyjskie, ani ukraińskie, ani polskie. A jeśli Komisja Europejska pozbawi uchodźców w wieku poborowym prawa do ochrony i będzie ich wysyłać wprost na ukraiński front – cóż, będzie trzeba ich ukrywać jak Żydów za okupacji. I to jest, proszę państwa, XXI wiek.

DAMIAN DUSZCZENKO

O ukraińskich metodach rekrutacji czytaj na str. 13



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy nasze społeczeństwo rzuciło się pomagać Ukraińcom po agresji Putina na pełną skalę, Polacy byli z siebie niezwykle dumni. „Mijały miesiące i lata od ogólnonarodowego zrywu pomocowego, a nasza duma z reakcji Europy i świata rosła i rosła. Można zaryzykować twierdzenie, że w większości ciągle jesteśmy pod wrażeniem, jakie wówczas zrobiliśmy. Niestety karnawał pomocowy potrwał kilka miesięcy i zanim dobiegł końca, wszystko zaczęło się psuć" – zauważa cierpko Sadura.

Oczywiście, ci sami ludzie, którzy pomagali ukraińskim uchodźcom, darzyli nienawiścią uchodźców z Bliskiego Wschodu. Jesteśmy dobrzy w szlachetnych zrywach, lecz myślenie kategoriami długoterminowymi i systemowymi przerasta naszą klasę polityczną. Nastąpiło zmęczenie pomaganiem i zastanawianie się, czy aby tym obcym nie jest zbyt dobrze.

Sadura trafnie zauważa analogię z Wielką Brytanią, w której Polacy mieli równie marną prasę, co dziś w naszym kraju Ukraińcy. Przypomina aferę, jaką brukowce brytyjskie urządziły, zarzucając Polakom, że wyżerają ich ryby z rzek i stawów. „Przeciętny Anglik je tylko ryby morskie, a jedzenie karpia czy okonia jest dla niego równie dziwne jak dla nas jedzenie żab lub pijawek. Przypominam to oczywiście w kontekście niedawnej afery związanej z wyłowieniem suma w warszawskim Balatonie na Gocławiu. Jednak uczciwie trzeba zauważyć różnicę. Nie przypominam sobie, aby jakiegokolwiek amatora angielskich leszczy czy płoci spotkała deportacja, a tego doświadczył wędkarz, który zabrał suma" – dodaje nie bez złośliwości Sadura.

Jakiś czas temu, zwłaszcza w obliczu ostrej kampanii w wyborach prezydenckich ubiegłego roku, politycy odkryli świętego Graala pozwalającego im ukazać się jako patrioci, zatroskani obywatele, troszczący się o dobrostan Polaków.

Są kolejki do lekarzy? Ukraińcy się wpychają. Trudno o dobrą robotę? Ukraińcy ją „zabrali". Media pełne są doniesień o Ukraińcach, którzy popełnili takie czy inne przestępstwo – choć nigdy nie czytałam informacji: „Pijany Polak katolik napadł na parę staruszków".

À propos Wielkiej Brytanii: przypomniała mi się opowieść brata mojego doktoranta zaatakowanego słownie przez jakiejś łajzy wyzywające go i mówiące, że zabiera im pracę i by wypierdalał do Polski. Wziął on worek ze śmieciami (był śmieciarzem) i wyciągnął go w ich stronę, pytając po angielsku: „Naprawdę chcecie się ze mną zamienić?".

Kiedy ci wszyscy ukrainożercy pójdą do szpitala, to gówna po nich sprzątać będzie raczej Olena spod Kijowa, niż Agnieszka spod Poznania. I może się okazać, że będzie owa Olena osobą wykształconą, której jednak kwalifikacje w Polsce są tyle warte, co moja uczelniana profesura na budowie w Londynie.

Festiwal hejtu

Wedle autorów raportu, formy wrogości są rozpoznawalne i powtarzalne: „Od agresji słownej w komunikacji miejskiej, przez mikroagresję w sklepach, donosy sąsiedzkie, bullying w szkołach, po rozczarowanie instytucjonalne (doświadczenie niechęci ze strony administracji odpowiedzialnej za legalizację pobytu cudzoziemców w Polsce, placówki ochrony zdrowia) – respondenci opisywali spójny repertuar doświadczeń. Szczególnie wśród uchodźców wojennych obecne było podejście: »chyba inaczej być nie mogło, bo przecież nie jesteśmy w domu«".

Jeśli mogę się posłużyć bliskim doświadczeniem, to powiem, że moja przyjaciółka Polka, kiedy robiła zakupy w sklepie ukraińskim (to naprawdę ciekawa kuchnia!), została pochwalona przez jednego z kupujących: „Bardzo ładnie pani mówi po polsku, tylko trochę ma pani akcent. Skąd pani pochodzi?". Kiedy powiedziała, że z Opola, mężczyzna szczerze się zdziwił. Bo Polak kupujący w ukraińskim sklepie jest jeszcze dziwniejszy niż sto lat temu nasz rodak kupujący u Żyda. Historia lubi się powtarzać!

Wygaszenie tzw. specustawy, która wspierała najsłabsze grupy Ukraińców – starych, schorowanych, niepełnosprawnych, rodziców niemowląt – jakkolwiek z punktu budżetu dość obojętne, skutecznie uprzykrzyło życie wielu osobom. Ale czy kogokolwiek wzruszy Ukrainka niemająca na leki czy mydło, gdy niejeden z Polaków zmaga się z podobnymi problemami? Jak mawiają w wyższych sferach: jebać biedę!

Jawna wrogość wobec Ukraińców sięgnęła tak daleko, że oni sami proszą swych pobratymców, aby w miejscach publicznych mówili do nich po polsku. Niewidomy uchodźca wojenny opisywał sceny z Biedronki: „Tam pracuje bardzo dużo Ukraińców, a ja muszę zwracać się o pomoc do pracowników. Ostatnio ciągle słyszę od nich: »Nie mówmy po ukraińsku, tylko po polsku, bo patrzą na nas krzywo«".

Jeśli jednak spojrzeć prosto, to nie sposób wykluczyć różnych scenariuszy, bo najłatwiej o wszelkie problemy zawsze obwiniać obcych… I tu jest pole do pracy dla lewicy, którego ona jakoś nie dostrzega.

ZUZ

eprasa.pl e85c9b743a

Pyszne zwolnienie



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zanim zamówisz hamburgera z dostawą

Kapitalizm platformowy wykonał właśnie kolejny skok cywilizacyjny. Pyszne.pl do końca sierpnia zamierza zwolnić wszystkich kurierów i kurierki. Około pięciu tysięcy ludzi. Ponieważ jednak bez kurierów dowożenie jedzenia idzie gorzej, zwolnieni będą mogli nadal wozić żarcie na Pyszne.pl, tyle że już nie dla Pyszne.pl.

Firma odda ich pięciu partnerom flotowym. Partner flotowy to taki pracodawca, który nie daje pracy, lecz bierze pieniądze za jej rozliczenie. Kurier będzie jeździł z pomarańczowym plecakiem, wykonywał polecenia aplikacji, dostarczał zamówienia klientom Pyszne.pl i zarabiał pieniądze dla Pyszne.pl, ale Pyszne.pl nie będzie miało z nim nic wspólnego. Gdy kurier złamie nogę, Pyszne wyrazi ubolewanie.

Dotychczas kurierzy byli zatrudniani bezpośrednio albo przez agencje pracy tymczasowej na umowach-zleceniach. Żaden Wersal, ale obowiązywała ich przynajmniej minimalna stawka godzinowa i odprowadzano składki. Na tle pozostałych platform była to niemal socjaldemokracja: człowiek czekający na zamówienie nadal pozostawał człowiekiem, a nie wyłączonym rowerem.

Kurierzy domagali się etatów. Firma postanowiła rozwiązać problem w sposób znany polskim kamienicznikom: skoro lokator upomina się o remont, najlepiej pozbyć się lokatora.

Według OPZZ Konfederacji Pracy po przeniesieniu do partnerów flotowych kurierzy stracą gwarancję minimalnej stawki godzinowej. Dostaną pieniądze wyłącznie za wykonane dostawy. Jeżeli zamówień zabraknie, będą mogli przez godzinę podziwiać deszcz, ruch uliczny i własne chudnące konto. Ryzyko prowadzenia działalności pozostanie po stronie człowieka na rowerze, zaś działalność po stronie firmy. Do tego partner flotowy może pobierać od kuriera opłatę za „rozliczenie". Dawniej pracodawca płacił pracownikowi. Teraz pracownik wynajmuje sobie pracodawcę, aby ten mógł potrącić mu pieniądze.

Samo Pyszne.pl nazywa operację „strategiczną ewolucją operacji logistycznych". Zwolnienie pięciu tysięcy ludzi brzmi ponuro, strategiczna ewolucja natomiast pachnie konferencją biznesową, na której podają wodę w szklanych butelkach. Dyrektor zarządzający firmy wyjaśnił, że własna flota przestała być przewagą i stała się ograniczeniem. Rzeczywiście, pracownik, któremu trzeba zapłacić za każdą przepracowaną godzinę, potrafi bardzo ograniczać. Zwłaszcza zysk.

Nowy system ma być „stabilny, skalowalny i konkurencyjny". Stabilny będzie dla Pyszne.pl, skalowalny dla pośredników, a konkurencyjny wobec żołądka kuriera. Firma zapewnia również, że skorzystają klienci, restauracje i sami dostawcy. Zwłaszcza dostawcy powinni się ucieszyć, bo wprawdzie stracą gwarantowaną stawkę, ale za to staną się częścią dojrzałej decyzji biznesowej. Rachunków tym nie zapłacą, mogą jednak wydrukować komunikat prasowy i ogrzać się przy nim zimą.

Klient ma oczywiście niczego nie zauważyć. Pizza dojedzie, hamburger pozostanie letni, a aplikacja zapyta, czy dostawa była uśmiechnięta. Cały urok gospodarki platformowej polega właśnie na tym, że klient nie widzi pracy. Widzi przesuwającą się po mapie kropkę. Kropka nie ma czynszu, kręgosłupa ani dzieci. Kropka nie moknie i nie choruje. Jeżeli przestaje się poruszać, algorytm wysyła następną.

Pyszne.pl ostrzega, że obowiązkowe zatrudnienie kurierów na etatach mogłoby podnieść koszt dostawy nawet o 15 zł. Z badań przywoływanych przez firmę ma wynikać, że 84 proc. klientów zrezygnowałoby wtedy z zamawiania. To argument często spotykany w dziejach postępu społecznego. Nie możemy przestrzegać prawa pracy, ponieważ usługa stanie się droższa. Jeżeli jednak tania dostawa jest możliwa tylko dlatego, że ktoś oczekuje, że będzie za darmo, nie jest tania. Część jej ceny zapłacił kurier. W komunikacie prasowym Pyszne.pl czytamy, że „według wewnętrznych danych dla 87 proc. kurierów najważniejsza jest elastyczność". Dane są wewnętrzne, więc nie wiadomo, kogo zapytano, o co dokładnie, ani czy w ankiecie można było zaznaczyć: „chciałbym elastycznie pracować, ale również jeść". Firma wyciąga z nich wniosek, że kurier marzy o statusie niezależnego wykonawcy, choć elastyczny czas pracy nie wymaga ani odebrania minimalnej stawki, ani zatrudnienia przez pośrednika pobierającego opłatę za rozliczenie. Kurierzy chcą wpływu na grafik, a Pyszne.pl usłyszało, że pragną samodzielnie ponosić całe ryzyko prowadzenia jego interesu.

Pyszne.pl nie wymyśliło partnerów flotowych. Skorzystało z modelu, który państwo od lat toleruje u konkurencji. Na tym rynku uczciwszy sposób zatrudniania nie daje przewagi, lecz generuje koszt. Wygrywa firma, która najskuteczniej przerzuci na kuriera czas oczekiwania, paliwo, sprzęt, wypadek, chorobę i brak zamówień. Dopóki te same zasady nie obejmą całej branży wraz z pośrednikami, każda próba jej ucywilizowania zakończy się następną strategiczną ewolucją. Pracownik zniknie z dokumentów, choć nadal będzie stał pod naszym domem z pizzą.

Pyszne.pl nie rezygnuje z kurierów. Rezygnuje jedynie z płacenia im za czas, w którym pozostają do jego dyspozycji, oraz z odpowiedzialności za warunki ich pracy. Jedzenie będzie więc nadal dowożone szybko. Tylko człowiek zostanie dostarczony na dno. Ku chwale zysków skurwysynów.

Smacznego.

DAMIAN DUSZCZENKO

Chciwe.pl

Czy Dziemianowicz-Bąk wygra z korpocwaniactwem?

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk zareagowała na gambit Pyszne.pl, zwracając się się do Głównego Inspektora Pracy o pilną kontrolę i weryfikację zatrudnienia współpracowników firmy. Równolegle Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej prowadzi prace nad wdrożeniem unijnej dyrektywy, która ma wzmocnić ochronę kurierów i kierowców współpracujących z platformami jak Glovo, Uber czy wspomniane Pyszne.pl.

Czy państwo polskie wygra z kreatywnością koncernów platformowych w sektorze kurierskim?

Zyski i straty

8 lipca Państwowa Inspekcja Pracy otrzymała narzędzia do wydawania decyzji o zastępowaniu umów cywilnoprawnych umowami o pracę, jeśli kontrolerzy wykażą wszelkie przesłanki typowe dla etatu. Resort Agnieszki Dziemianowicz-Bąk dał firmom 12-miesięczny okres abolicyjny, w którym pracodawcy mogą sami przekształcać umowy bez konsekwencji finansowych za wcześniejsze olanie przepisów. 14 lipca Pyszne.pl ogłosiło przejście na współpracę z partnerami flotowymi. To o tyle zabawne, że

Pyszne.pl latami budowało swój wizerunek i przewagę konkurencyjną na rynku, szczycąc się etycznym, stabilnym i bezpiecznym modelem zatrudnienia, który radykalnie odróżniał platformę od rywali – jak Uber Eats czy Glovo.

Jesienią 2023 r. Pyszne poparło ideę wdrożenia unijnej dyrektywy o ucywilizowaniu pracy kurierów. „Jest to jedyny sposób na rozwiązanie problemów związanych z niepewnością legislacyjną i niezdrową konkurencją między platformami w zakresie kosztów pracy" – napisano w oświadczeniu. Cóż, szybko poszło.

Fachowo nazywa się to „równaniem standardów w dół". Wygody klasy wyższej i średniej są kredytowane tym, że istnieje grupa ludzi pozbawiona praw pracowniczych i godnych zarobków.

Państwo powinno (przynajmniej w teorii) równoważyć interesy stron. Minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wydaje się być zdeterminowana. Problem w tym, że platformy *gig economy*, w których dominują krótkotrwałe kontrakty i zlecenia, nie odpuszczą tak łatwo.

Tańce wojenne

Obecnie kurierzy podają swoją dyspozycyjność, otrzymują grafik i dostają stawkę godzinową, ustaloną na podstawie ogólnych przepisów. Do tego wpadają dodatki za przejechane kilometry, premie uzależnione od liczby wykonanych zleceń i napiwki. Krótko mówiąc, bez względu na ilość wyjazdów jakiś zarobek jest pewny.

Po przejściu do partnerów flotowych gwarantowana stawka zostanie wspomnieniem. Zarobki u pośredników opierają się głównie na akordzie. Jeśli restauracja spóźni się z wydaniem jedzenia powyżej pięciu minut, aplikacja nalicza kurierowi opłatę za każdą minutę czekania. Aby legalnie płacić mniejsze podatki, partnerzy stosują konstrukcje prawne oparte na umowach najmu pojazdu połączonych z umową zlecenie. Na umowie wpisują minimalną kwotę, a reszta leci jako zwrot kosztów (np. za amortyzację roweru), co drastycznie obniża składki.

Naprzeciw tym machinacjom wyszła dyrektywa UE, która wskazuje zestaw przesłanek mogących świadczyć o istnieniu stosunku pracy.

Jeśli platforma internetowa ustala ceny usług, decyduje o przydziale zleceń, kontroluje jakość pracy albo ogranicza swobodę wykonawców – dostanie urzędowe lanie.

Dyrektywa została przyjęta w 2024 r., a państwa członkowskie mają czas na jej wdrożenie do grudnia 2026 r. Jak podkreśliła ostatnio Dziemianowicz-Bąk, projekt polskiej ustawy do końca lipca trafi do wykazu prac legislacyjnych. Nowe wytyczne mają obejmować ochroną zarówno osoby współpracujące bezpośrednio z platformami, jak i zatrudniane przez partnerów flotowych.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W Polsce dominuje narracja o elastyczności rynku i ochronie miejsc pracy. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców już dawno wyraził potrzebę sformułowania takich przepisów, które pozwolą „utrzymać oparty na elastyczności innowacyjny model biznesowy platform cyfrowych, stanowczo sprzeciwiając się planom wprowadzenia sztywnego domniemania stosunku pracy". Wiadomo.

Rządy (zarówno poprzednie, jak i obecny) unikają dokręcania śruby regulacji, co koncerny interpretują jako zielone światło dla kreatywnych struktur. Choć zapowiedzi minister brzmią solidnie, korporacyjni prawnicy nie śpią.

Niedobre, bo polskie

Dyrektywa platformowa opiera się na pojęciu „cyfrowej formy pracy", która kontroluje pracowników za pomocą algorytmu.

Kiedy PIP wejdzie z drzwiami do małego partnera flotowego, ten pokaże umowę zlecenie i powie, że nie jest żadną platformą cyfrową, bo kupił dostęp do aplikacji od głównego partnera (np. Glovo). Tamten z kolei powie inspektorom, że nie kontroluje kurierów, bo nie są jego – robi to szef floty, czyli podwykonawca. Rozplątanie tego węzła przed polskimi sądami administracyjnymi i sądami pracy może zająć sporo czasu.

Unijne regulacje wskazują, że platformy będą musiały m.in. informować, jak działają algorytmy. Wskutek prezydenckiego weta na początku 2026 r. wobec ustaw wdrażających Akt o usługach cyfrowych (DSA), polski system nadzoru utknął w martwym punkcie.

Funkcję koordynatora ds. usług cyfrowych tymczasowo i z ograniczonym polem manewru pełni prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Nowe projekty ustaw zakładają rozproszenie odpowiedzialności między KRRiT, UOKiK i wspomniany UKE. Nawet jeśli dostaną one raport z gładkimi formułkami, nie będą w stanie zweryfikować jego treści w odniesieniu do stanu faktycznego. Żadna z tych instytucji nie posiada bowiem mocy przerobowych zdolnych do audytu kodu źródłowego dynamicznych algorytmów logistycznych. Jedyną szansą – wzorem Włoch i Hiszpanii – będzie zignorowanie korporacyjnych opowieści i badanie twardych dowodów: przesłuchiwanie kurierów, analiza ich wypłat, historia blokad kont i logów z aplikacji w telefonach. Teoretycznie wykonalne, ale jest kilka problemów.

Największym sprzymierzeńcem korporacji w walce z zapowiedziami minister jest niewydolność urzędów. Weźmy logistyczne możliwości PIP. Pyszne.pl to jeden łatwy do skontrolowania podmiot. Partnerów flotowych w kraju są setki, jeśli nie tysiące. To często małe spółki z o.o. rejestrowane w wirtualnych biurach, które zmieniają nazwy i właścicieli co kilka miesięcy. Nawet jeśli ministerstwo wyposaży inspekcję pracy w ostre prawo, PIP fizycznie nie podoła z kontrolą setek rozproszonych flot jednocześnie. Zanim urzędnik skończy pisać protokół w jednej firmie, ta ogłosi upadłość, a jej właściciel otworzy obok nową spółkę-córkę… Analiza dokumentów zatrudnionych przez te twory kurierów, nawet przy krzyżowym działaniu KAS i ZUS, będzie zabawą w kotka i myszkę.

Zachód udowodnił, że platformy da się odstawić od paśnika, ale wymaga to agresywnego państwa, a nie tylko zapisów w ustawie. Ostateczny wynik tego starcia poznamy dopiero, gdy pierwsze decyzje PIP trafią do sądów.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl e85c9b743a

Lokalsi kontra imprezowicze

Rak turystyki



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Rada Ministrów przyjęła projekt noweli ustawy uznającej najem krótkoterminowy za usługę hotelarską i wprowadzający Centralny Wykaz Turystycznych Obiektów Noclegowych. Rejestru wymaga Unia Europejska; lokalsi z najbardziej obleganych miast liczyli na coś więcej – na prawo do świętego spokoju i ochronę lokalnego rynku mieszkaniowego. Rząd pokazał im środkowy palec. Zmiany, które uderzą w najem krótkoterminowy, przygotowuje Ministerstwo Rozwoju i Technologii. Choć projekt jest w fazie konsultacji społecznych i międzyresortowych, eksperci już punktują jego zapisy jako niekonstytucyjne. Czy lud wygra z lobby rentierów?

Overtourism

Przez lata najem krótkoterminowy rozrastał się po Polsce jak pleśń. Wolny od braku kontroli i jakichkolwiek ograniczeń, często pozostający w szarej strefie, opanował nie tylko największe miasta.

Początkowo ten model – wynajęcie kawałka podłogi lub prywatnej kwatery zamiast drogiego hotelu – miał działać na zasadach *sharing economy*: udostępniania nieużywanych lub nadmiarowych zasobów innym ludziom za niewielką opłatą. Dotyczyło to tak wolnego pokoju, jak i całej chaty, jeśli np. właściciele spędzali lato na wsi. Niestety, zawsze przychodzi moment, kiedy kapitał zaczyna podcierać sobie dupę ideami. Relacja z lokalną społecznością i jej kolorytem prędko przekształciła się w mieszkania, piętra i klatki w zorganizowanym biznesie. Mieszkańcy tłumnie odwiedzanych przez turystów miejscowości na własnych osiedlach poczuli się jak goście, w dodatku niechciani.

Nocne hałasy, konflikty z jednorazowymi sąsiadami i zarzygane klatki schodowe to tylko jedna strona medalu. Masowe przekształcanie lokali w minihotele z karton-gipsu zmniejsza podaż mieszkań na wynajem długoterminowy, co drastycznie podnosi czynsze i ceny nieruchomości. Stali mieszkańcy wypychani są na obrzeża miast. W historycznych dzielnicach znikają szkoły, przychodnie i sklepy spożywcze – zastępują je drogie knajpy i atrakcje dla turystów. Lokalsi liczyli na to, że ustawa mająca wprowadzić regulacje wymagane przez unijne rozporządzenie przy okazji zatrzyma masową zamianę mieszkań na prywatne hotele. Rząd odmalował coś dokładnie odwrotnego.

Po ponad dwóch latach prac i konsultacji Ministerstwo Sportu i Turystyki wysmażyło projekt, który łaskawie można nazwać fasadowym.

Za jego przygotowanie i prezentację jego założeń podczas konsultacji i konferencji prasowych odpowiadał wiceminister Ireneusz Raś z PSL. Główny minister Jakub Rutnicki z KO firmował projekt generalnie i prezentował stanowisko rządu na etapie prac legislacyjnych.

Klepnięte przepisy zakładają, że wynajem krótkoterminowy mieszkań to usługa hotelarska – co ma wyeliminować szarą strefę. Wynajmujący lokale będą musieli zgłaszać działalność do Centralnego Wykazu Turystycznych Obiektów Noclegowych pod groźbą kary w wysokości do 50 tys. zł.

Jeśli sąsiedzi będą wielokrotnie skarżyć się na zakłócanie miru domowego, samorząd będzie mógł wykreślić dany lokal z rejestru. Krótko mówiąc: odpowiedzialność za walkę z niezbyt cywilizowanymi turystami i resztą niedogodności zrzucono na mieszkańców i lokalne urzędy. Urocze. To nie wszystko.

Betonowe złoto

Dzień przed głosowaniem z projektu usunięto możliwość wyznaczania przez gminy obszarów, na których najem krótkoterminowy mógłby zostać ograniczony. Wspólnoty i spółdzielnie nie otrzymały prawa do decydowania, czy taka działalność może być prowadzona w budynku mieszkalnym. Zrezygnowano nawet z opinii specjalisty od ppoż.

Minister Rutnicki powiedział w sejmie, że nowe przepisy chronią mieszkańców, a najem pozwala milionom Polaków taniej spędzać wakacje. Zaapelował też o „więcej wiary w Polaków i przedsiębiorczość". Trudno się dziwić: osobiście zgłosił kluczową autopoprawkę wykreślającą prawo samorządów do tworzenia stref wolnych od airbnb (potoczna nazwa wynajmu krótkoterminowego).

Władysław Kosiniak-Kamysz nie posiadając się z radości, obwieścił w serwisie X: „Porządkujemy rynek i przywracamy równowagę między prawem własności a prawem mieszkańców do spokojnego życia". Jeszcze lepiej popłynął minister finansów Andrzej Domański, który na antenie TVN 24 przypomniał, że „są tysiące Polaków, którzy zainwestowali swoje oszczędności w lokale m.in. po to, aby przeznaczyć je na najem krótkoterminowy". Zabawne, w kraju funkcjonuje aktualnie ok. 70 tys. ofert takiego najmu. Raport „Inside Airbnb" z 2026 r. wskazywał przykłady operatorów posiadających portfele obejmujące nawet 600 ofert w Gdańsku czy przeszło 500 w Warszawie. Duże te polskie oszczędności…

To szczególnie ciekawe podejście, bo kierowany przez Domańskiego resort rozwoju i technologii pracuje nad nowelą ustawy o własności lokali, której przepisy (teoretycznie) uderzą w to, czego tak zażarcie dzisiaj broni.

Moje czy nie moje?

Przepisy projektowane przez MRiT dotyczą zmiany ustawy o własności lokali. Jak wskazuje resort, obecnie właściciel może – zgodnie z utrwalonym orzecznictwem – samodzielnie zdecydować o zmianie funkcji lokalu z mieszkaniowej na użytkową lub odwrotnie. Bez zgody wspólnoty mieszkanie może zatem zostać gabinetem lekarskim, kancelarią prawną czy właśnie noclegownią. Zdaniem ministerstwa, nowe przepisy będą skuteczniej chronić osoby mieszkające na stałe w danej lokalizacji przed uciążliwościami związanymi z tego typu działalnością. Wspólnota mieszkaniowa będzie mogła odmówić zgody na zmianę przeznaczenia nieruchomości; a jeśli uczyni to bez uzasadnienia, właściciel będzie mógł zwrócić się do sądu. A sąd – jak wiadomo – zawsze może rozstrzygnąć sprawę na korzyść przedsiębiorcy.

Brzmi to nieco bardziej prolokatorsko niż gniot resortu turystyki – kilka argumentów prawnych może jednak zneutralizować te pomysły. To przede wszystkim zarzuty konstytucyjne i cywilnoprawne.

Wymóg zgody wspólnoty na zmianę sposobu korzystania z własnego lokalu jest ingerencją w istotę prawa własności. Sądy – w tym SN – wielokrotnie uznawały, że uchwały wspólnot całkowicie zakazujące najmu krótkoterminowego są nieważne, bo wykraczają poza zarząd nieruchomością wspólną i ingerują w sferę wyłącznej własności lokalu.

Nie każdy najem krótkoterminowy jest upierdliwy. Projekt traktuje całą działalność jako zmianę przeznaczenia, bez indywidualnej oceny – hałasu, rotacji gości, zużycia części wspólnych etc. Ustawa powinna wiązać zakaz prowadzenia takiej działalności z konkretnym naruszeniem, zamiast pozwalać wspólnocie na wydanie prewencyjnego zakazu.

Jest też konflikt z zasadami swobody gospodarczej. Art. 22 Konstytucji mówi, że jej ograniczenie jest dopuszczalne tylko w drodze ustawy i tylko ze względu na ważny interes społeczny. Ścieżek interpretacji jest bez liku. Projekt ma silne kontrargumenty, więc nie musi upaść całkowicie, ale trudno brać wszystkie zapowiedzi za pewnik.

Aktualnie nowela znajduje się na etapie uzgodnień, konsultacji publicznych i opiniowania. Długa i wyboista przed nią droga. Szczególnie biorąc pod uwagę intencyjne rozdwojenie jaźni szefa resortu.

Szczerość intencji

Ustawa Ministerstwa Turystyki i Sportu ma trafić do Sejmu. Pierwsze czytanie przeszedł jeszcze w kwietniu poselski projekt Polski 2050, który zawiera o wiele dalej idące rozwiązania: możliwość ustanawiania lokalnych ograniczeń, wpływ wspólnot mieszkaniowych oraz limity działalności.

Próbę zaostrzenia projektu podczas prac parlamentarnych zapowiedziała też Lewica. Na posiedzeniu rządu Krzysztof Gawkowski opowiedział się za przywróceniem rozwiązań oddających decyzyjność spółdzielniom i wspólnotom mieszkaniowym. NL stawia też na sankcje wystarczająco wysokie, żeby ich naruszenie nie stało się zwykłym kosztem prowadzenia działalności.

Lewica zapowiedziała złożenie poprawek w Sejmie i uzależniła od ich przyjęcia poparcie dla całej ustawy.

Pojawia się pytanie: czy pomysł nowelizacji ustawy o własności lokali nie posłuży do rozmycia tych postulatów? Czas pokaże. Jeżeli rząd ostatecznie ograniczy się do stworzenia rejestru i numerków, pozwalając na dalsze nakręcanie patologii wynajmu krótkoterminowego – zwykli obywatele znów zostaną złożeni na ołtarzu biznesu.

IDALIA DUBICKA

Życie W DOBROBYCIE

● Francuski gigant motoryzacyjny Valeo postanowił przenieść część swoich działań badawczo-rozwojowych z Niemiec do Polski. To koncern osiągający około 20,9 mld euro rocznych przychodów. Firma zatrudnia około 100 tys. pracowników w 29 krajach świata. Dysponuje 149 zakładami produkcyjnymi i 59 centrami badawczo-rozwojowymi. Przedsiębiorstwo chce rozbudować swój ośrodek w Czechowicach-Dziedzicach. Obecnie ma tam około 200 pracowników zajmujących się badaniami i rozwojem. Teraz ma do nich dołączyć ponad 100 kolejnych inżynierów. Brzmi dumnie, szczególnie gdy władze Valeo mówią o geniuszu polskich inżynierów. Ale jeśli naprawdę najważniejsze są wyjątkowe kompetencje polskich inżynierów, to dlaczego przez ostatnie trzy dekady te same koncerny budowały swoje centra technologiczne głównie w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych? Czyżby nagle odkryły, że najlepsze kadry świata siedzą właśnie pod Bielskiem-Białą? Nie, otóż. Niemcy są przecież jednym z najdroższych rynków pracy w Europie. Przeciętne wynagrodzenia inżynierów są tam wielokrotnie wyższe niż w Polsce. Do tego dochodzą składki socjalne, koszty energii, koszty nieruchomości i cała masa innych wydatków, które przedsiębiorca musi ponosić. Tymczasem Polska wciąż pełni rolę kraju, w którym można znaleźć dobrze wykształconych pracowników za ułamek kosztów zachodnioeuropejskich. A jeśli niemiecka gospodarka jest w tak fatalnym stanie, jak słyszymy niemal codziennie, to dlaczego nadal przeciętne niemieckie wynagrodzenia pozostają dla polskich pracowników niemal nieosiągalnym marzeniem i dlaczego niemieccy inżynierowie wciąż kosztują firmy znacznie więcej od polskich? Gdyby było odwrotnie, obserwowalibyśmy masowe przenoszenie centrów z Polski do Niemiec. Bo firmy ograniczają wydatki tam, gdzie pracownik kosztuje dużo, i przenoszą się tam, gdzie kosztuje mniej. Najważniejsza jest więc różnica pomiędzy kosztami zatrudnienia pracownika w Niemczech i w Polsce. Tyle że tego w komunikatach prasowych się nie podaje. Bo znacznie lepiej brzmią słowa o innowacjach, talentach i europejskim centrum kompetencji.

● Z propozycji dotyczących zmiany przepisów wobec wspólnot mieszkaniowych wychodzi, że z deregulacją w Polsce koniec. Bo jeśli coś działało przez dziesięciolecia bez samorządu zawodowego, nowych składek, kontroli i kolejnych obowiązków, to najwyraźniej należy to jak najszybciej obudować dodatkowymi regulacjami. Sprawa dotyczy około 200 tys. wspólnot mieszkaniowych działających w Polsce, obejmujących około 24,3 proc. krajowych zasobów mieszkaniowych. Mówimy więc o blisko 4 mln mieszkań, których właściciele co miesiąc płacą zaliczki, fundusze remontowe, opłaty eksploatacyjne. A do Ministerstwa Rozwoju i Technologii trafiła senacka propozycja stworzenia obowiązkowej struktury zawodowej obejmującej osoby zarządzające nieruchomościami, a nawet członków zarządów wspólnot mieszkaniowych pobierających jakiekolwiek wynagrodzenie lub zwrot kosztów. A dziś w tysiącach wspólnot zarządy tworzą zwykli mieszkańcy. Czasem dostają za to niewielkie wynagrodzenie, czasem zwrot za telefon albo zwrot kosztów paliwa. Dzięki temu wspólnota funkcjonuje bez konieczności zatrudniania dodatkowych podmiotów i generowania kolejnych kosztów. Teraz taki obywatel, który od lat społecznie lub półspołecznie pomaga zarządzać własnym budynkiem, miałby zostać wpisany w system składek, obowiązków, szkoleń i nadzoru. A wszystko oczywiście dla jego dobra. A na dodatek zarządcy i członkowie zarządów mieliby się obowiązkowo zrzeszać w czymś o nazwie izba czegoś tam. Na nią oczywiście musieliby płacić składki. Oszacowano, że koszty funkcjonowania takiego rozwiązania mogłyby wynieść co najmniej 240 mln zł rocznie. Wiadomo, że zapłacą je mieszkańcy w czynszu, którzy usłyszą, że to dla ich dobra trzeba było stworzyć jeszcze jeden kosztowny system nadzoru. Nad czymś, co nadzoru nie potrzebuje.

● Gdyby ktoś chciał sprawdzić, jak opowieści o gospodarczym przyspieszeniu finansowanym miliardami z KPO i SAFE wyglądają z perspektywy przeciętnego pracownika, powinien wybrać się do Gorlic i Nowego Sącza. W należącym do Grupy Grenevia gorlickim zakładzie Famur zapowiedziano zwolnienia grupowe obejmujące 189 osób. Mówimy o przedsiębiorstwie zatrudniającym około 700–800 pracowników. Oznacza to, że redukcja obejmuje mniej więcej jedną czwartą całej załogi. W Nowym Sączu zaś, rozpoczął się proces likwidacji zakładu Grenevia Famur Nowomag, przedsiębiorstwa, którego historia sięga 1976 r. Zakład funkcjonował więc niemal pół wieku. W 1992 r. został przekształcony w spółkę akcyjną, a w 2003 r. wszedł do Grupy Famur, jednego z największych producentów maszyn dla górnictwa. W najlepszym okresie zatrudniał około 1100 osób i należał do największych pracodawców nie tylko w Nowym Sączu, ale w całym regionie. Oficjalne uzasadnienie obu zamknięć odwołuje się do coraz gorszej sytuacji branży górniczej. Trudno dziwić się, że przedsiębiorstwa produkujące wyposażenie dla kopalń odczuwają skutki zmian zachodzących w energetyce i górnictwie. Trudno też jednak nie zauważyć kontrastu między tym obrazem a publicznymi opowieściami o gospodarczym przyspieszeniu, które nadeszło dzięki KPO i SAFE.

● W 2015 r. poziom cen u nas wynosił niespełna 58 proc. średniej Unii Europejskiej. Dziś jest to już 73,3 proc. W ciągu zaledwie dekady zniknęła znaczna część przewagi, którą przez lata mieliśmy jako jeden z najtańszych krajów wspólnoty. Z punktu widzenia statystyk można powiedzieć, że doganiamy Zachód. Problem polega jednak na tym, że nasze zarobki nie rosną równie szybko. Najbardziej imponujące tempo wzrostu cen przypadło na lata 2020–2025. Według danych przywoływanych przez Polski Instytut Ekonomiczny ceny energii elektrycznej i gazu niemal się w tym czasie podwoiły. Jeszcze mocniej odczuwamy wzrost cen usług. Raport pokazuje, że usługi fryzjerskie, stomatologiczne czy remontowo-wykończeniowe podrożały w ciągu pięciu lat o około 70 proc. Sprzęt AGD, odzież czy samochody osiągnęły już poziom cen zbliżony do zachodnioeuropejskiego. Kupując telewizor, lodówkę czy nowy samochód, coraz częściej płacimy niemal tyle samo co Niemiec, Francuz czy Holender. Tyle tylko, że oni za swoją pensję kupują ich znacznie więcej. Sam poziom cen niewiele mówi. Liczy się bowiem relacja pomiędzy cenami a dochodami. PIE przypomina jednocześnie, że Polska nadal należy do najtańszych państw Unii Europejskiej. Tańsze są jedynie Rumunia, gdzie poziom cen wynosi 65,1 proc. średniej unijnej, oraz Bułgaria z wynikiem 62,5 proc. średniej. Z drugiej strony znajdują się Dania, Irlandia i Luksemburg, gdzie ceny od kilku lat przekraczają 130 proc. średniej unijnej. Na pierwszy rzut oka wygląda to dla Polski całkiem optymistycznie. Problem polega jednak na tym, że mieszkaniec Luksemburga czy Danii zarabia dużo więcej niż Polak czy Rumun. I dopóki ta różnica będzie tak duża, dopóty trudno będzie przekonać kogokolwiek, że drożyzna istnieje wyłącznie w naszej wyobraźni.

● Związek Banków Polskich znów pochylił się nad podłym – jego zdaniem – losem sektora bankowego w Polsce i po raz kolejny wyszło mu, że będzie gorzej. Bo zdaniem ZBP najbardziej poszkodowanym gatunkiem biznesu nad Wisłą jest bankowość. A według nowej prognozy ZBP zysk sektora w 2026 r. ma spaść. Bo 2025 r. banki zarobiły około 49 mld zł na czysto, a w 2026 r. według ZBP, czeka je zarobek ledwie 37,9 mld zł. Znaczy tragedia. Rentowność kapitału wedle ZBP ma spaść z około 18 proc. do około 13 proc. W świecie zwykłego biznesu 13 proc. rentowności to wynik, za który właściciel firmy dałby księgowej kwiaty, a pracownikom może nawet premię. W świecie bankowym jest to jednak powód do lamentowania. Najzabawniejsze, że ZBP przyznaje, że w tym roku sektor będzie miał potencjał do zwiększania akcji kredytowej. W tej bankowej elegii jest jednak to, o czym mówi się ciszej: w 2026 r. CIT dla banków wzrósł z 19 proc. do 30 proc. Potem ma spaść. A im ktoś niższy pokaże dochód, tym mniej zapłaci podatku. Stąd dla banków rok z wysokim CIT-em jest idealnym czasem do robienia porządków w bilansach. To dlatego akurat teraz banki bardzo energicznie sprzątają sprawy frankowe. Oczywiście nikt nie musi wierzyć, że prezesi banków siadają przy długim stole i mówią: „panowie, skoro CIT jest wysoki, to wrzućmy w koszty, co się da". Takich rzeczy w bankowości się nie mówi, tylko nazywa zarządzaniem ryzykiem prawnym, optymalizacją portfela sporów, domykaniem ekspozycji historycznej i poprawą przewidywalności wyniku. Sens jest prosty – straty na frankach i tak kiedyś trzeba byłoby ponieść, lepiej zrobić to w roku, w którym koszt najmocniej obniża podatek. Czyli banki będą płakać, ale z pełnym portfelem, możliwością pożyczania jeszcze większych pieniędzy i oszczędzaniem na podatkach tak jak nigdy dotychczas.

TTJ



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl e85c9b743a



Pokolenie wszystkiego i niczego

Jeśli nie chcesz powiedzieć niczego, mów wszystko. I nie zapomnij za to wziąć kasy!

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Gdy państwo wydaje pieniądze na raport, wypadałoby, żeby po jego lekturze człowiek wiedział o badanym zjawisku choć odrobinę więcej niż przed zajrzeniem na pierwszą stronę. Tymczasem z „Diagnozą Młodzieży 2026" przygotowaną na zlecenie Ministerstwa Edukacji Narodowej jest pewien kłopot. Czytając kolejne rozdziały, coraz bardziej ma się wrażenie, że autorzy wykonali gigantyczną pracę badawczą tylko po to, żeby dojść do wniosku, iż młodzi ludzie są młodymi ludźmi. Są jednocześnie świadomi i zagubieni; optymistyczni i przeciążeni; samotni, ale obecni w mediach społecznościowych; cyfrowi, lecz wymagający kontaktu z drugim człowiekiem; chcą bezpieczeństwa, ale marzą o samodzielności; są wrażliwi, choć zarazem odporni; nie buntują się, ale chcą zmian. Po przeczytaniu kilkudziesięciu stron opracowania można dojść do wniosku, że gdyby autorzy dopisali jeszcze kilka rozdziałów, dowiedzielibyśmy się również, że młodzi bywają zmęczeni wieczorem, a rano częściej niewyspani niż wyspani.

Optymizm pesymistyczny

Skala przedsięwzięcia robi jednak wrażenie. Przeanalizowano ponad 200 wcześniejszych raportów, strategii i opracowań krajowych oraz międzynarodowych. Przebadano ponad 5 tys. respondentów. W centrum zainteresowania znaleźli się ludzie pomiędzy 15. a 29. rokiem życia, których w Polsce jest 5,73 mln, czyli 15,3 proc. społeczeństwa. Liczby wyglądają imponująco. Problem zaczyna się jednak, gdy spróbujemy odpowiedzieć sobie na najprostsze pytanie: czego właściwie dowiedzieliśmy się o tych 5,73 mln ludzi?

Najgłośniej wybrzmiewa teza, że młodzi są „świadomi, ale przeciążeni". Tylko co to właściwie oznacza? Świadomi czego – siebie, świata, klimatu, własnych emocji, polityki, a może cen mieszkań? Tego raport już precyzyjnie nie rozwija. Wiadomo natomiast, że ponad jedna trzecia badanych uważa się za osoby nadwrażliwe. Niemal połowa nastolatków deklaruje niską samoocenę. Około 40 proc. uczniów szkół ponadpodstawowych doświadcza objawów depresyjnych. Co szósty nastolatek w wieku 13–17 lat przyznaje się do samookaleczeń w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Tylko że zaraz obok pojawia się informacja, iż 74 proc. młodych dorosłych z optymizmem patrzy na własną przyszłość. Skoro więc niemal połowa cierpi na bardzo niską samoocenę, znaczna część zmaga się z depresją, a jednocześnie trzy czwarte wierzy, że przyszłość będzie dobra, to czy raport opisuje jedno pokolenie, czy kilka różnych światów wrzuconych do jednego worka?

Jeszcze ciekawiej robi się przy samotności. Autorzy alarmują, że 38 proc. nastolatków i aż 42 proc. młodych dorosłych deklaruje poczucie osamotnienia. Zaraz jednak przypominają, że współczesna młodzież funkcjonuje przede wszystkim w świecie cyfrowym, buduje tam relacje, zdobywa wiedzę i rozwija zainteresowania. Skoro więc internet jest miejscem tworzenia więzi, to dlaczego jednocześnie ma być dowodem ich zaniku? A jeśli nie jest, to może problem leży gdzie indziej niż w samych technologiach? Odpowiedzi próżno szukać. Dostajemy natomiast kolejne liczby.

Zdrowi i bogaci

A tych nie brakuje. 71 proc. młodych uważa, że jest uzależnionych od telefonu. Ponad 80 proc. dzieci zakłada konta w mediach społecznościowych przed ukończeniem 13. roku życia. Średni czas korzystania z internetu wynosi niemal pięć godzin dziennie. Blisko połowa nastolatków styka się ze szkodliwymi treściami w sieci. Jednocześnie trzy czwarte młodych dorosłych twierdzi, że szkoła nie nauczyła ich rozpoznawania manipulacji, dezinformacji ani materiałów tworzonych przez sztuczną inteligencję. Wszystko to brzmi poważnie, tylko znowu pozostaje pytanie: czy raport wykazał coś, czego przeciętny nauczyciel, rodzic albo pracodawca wcześniej nie wiedział? Trudno dziś znaleźć kogokolwiek, kto uważałby, że nastolatki korzystają z internetu zbyt krótko albo że szkoła doskonale przygotowuje do odróżniania informacji prawdziwych od fałszywych.

Autorzy przekonują też, że obecne pokolenie nie jest roszczeniowe, lecz dojrzewa w wyjątkowo trudnych warunkach. Trudno się z tym spierać: pandemia, wojna za wschodnią granicą, inflacja, niepewność rynku pracy i kryzys mieszkaniowy to fakty, a nie publicystyczne figury. Tyle że z raportu wynika właściwie jedynie tyle, że młodzi reagują na rzeczywistość podobnie, jak reagowałoby każde pokolenie postawione wobec podobnych okoliczności.

Trudno uznać za odkrycie stwierdzenie, że wysokie ceny mieszkań utrudniają wyprowadzkę z domu rodzinnego. Tymczasem autorzy informują, iż 53 proc. osób między 25. a 34. rokiem życia nadal mieszka z rodzicami, ponad połowa rozpoczynających karierę zawodową odczuwa brak stabilności zatrudnienia, a 62 proc. ma trudności ze znalezieniem pracy zapewniającej jednocześnie satysfakcję i poczucie bezpieczeństwa. Czy jednak potrzeba było kilkuset stron analiz, aby dojść do wniosku, że mieszkania są drogie, a młodzi nie przepadają za umowami niegwarantującymi jutra?

Bezradna sprawczość

Raport zachwyca się również figurą „sigmy", człowieka niezależnego, samodzielnego i przekonanego o własnej sprawczości. Brzmi to nowocześnie, choć równie dobrze można by napisać, że młodzi chcieliby radzić sobie w życiu i nie być od nikogo zależni. Takie marzenie miało przecież każde pokolenie od czasu, gdy ludzie przestali mieszkać w jaskiniach. Podobnie jest z deklaracją, że młodzież bardziej niż rewolucję ceni dziś stabilność. Czy rzeczywiście odkryto nową prawidłowość społeczną, czy raczej opisano reakcję ludzi dorastających w epoce permanentnych kryzysów?

Najbardziej charakterystyczne w całym opracowaniu są jednak nie liczby, lecz język. Młodzi mają być „bez uproszczeń i stereotypów", posiadać „ogromny potencjał". Trzeba „budować sprawczość", należy wzmacniać „kompetencje społeczne", wspierać „dobrostan psychiczny" i rozwijać „uczestnictwo obywatelskie". Wszystko to brzmi równie pięknie jak zdanie, że jeśli odpowiednio wesprzemy młodych ludzi, to „zyskamy pokolenie będące bezcennym zasobem dla budowania bardziej empatycznego społeczeństwa". Trudno się z tym banałem nie zgodzić. Tak samo jak trudno wyobrazić sobie kogoś utytułowanego, kto publicznie powiedziałby, że woli społeczeństwo mniej empatyczne.

I chyba właśnie tutaj tkwi największy problem całego raportu. Zebrano ogrom materiału, przywołano setki analiz, przeprowadzono tysiące badań, przytoczono dziesiątki wskaźników i statystyk. Tyle że z tego oceanu danych wyłania się obraz tak szeroki, że właściwie niemożliwy do zakwestionowania.

Jeśli młodzi są jednocześnie świadomi i przeciążeni, samotni i cyfrowi, optymistyczni i depresyjni, samodzielni i zależni od rodziców, odporni i wrażliwi, to raport opisuje wszystko. A kiedy opisuje wszystko, przestaje wyjaśniać cokolwiek.

Może więc najważniejszym odkryciem „Diagnozy Młodzieży 2026" nie jest to, jaka naprawdę jest współczesna młodzież. Może najwięcej mówi ona o współczesnej modzie na produkowanie opracowań, w których każdy znajdzie dla siebie odpowiedni cytat, liczbę albo procent, ale nikt nie będzie musiał wyciągać z nich zbyt konkretnych wniosków. Bo z raportem jest trochę jak z horoskopem. Czytający bez trudu odnajdzie w nim własne doświadczenia. Tyle że po zakończeniu lektury nadal nie będzie wiedział, co właściwie powinien zrobić.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W powiecie słupskim odkryto obiecującą formę współpracy w ramach NATO. Zawodowy żołnierz zajął się logistyką wysokoprocentową, uruchamiając w pobliżu bazy w Redzikowie wytwórnię bimbru. Służby zabezpieczyły 1300 litrów gotowego produktu. Przy 200 amerykańskich żołnierzach stacjonujących tu pod tarczą antyrakietową, przydział wynosi 6,5 litra na głowę Jankesa. Twierdzicie, że pod wpływem takiego ładunku rosyjskie rakiety nie mają szans? Oczywiście. Po spożyciu 6,5 litra samogonu każdy amerykański operator radaru zobaczy na ekranie nie jeden, ale cztery pociski dalekiego zasięgu, co czterokrotnie zwiększa naszą czujność obronną. Żandarmeria, likwidując bimbrownię, uderzyła w same fundamenty bezpieczeństwa narodowego. To był polski wkład w chemiczne odstraszanie agresora.

▮ Władysław Grochowski, właściciel sieci hoteli Arche, ratuje polską demografię metodą łóżkową, zamieniając swoje hotele w patriotyczne lupanary. Zasada jest prosta: bzykasz się w pokoju hotelowym, a jeśli w ciągu 300 dni od wymeldowania na świat wyskoczy bachor, sieć funduje wyprawkę i imprezę na 10 osób o wartości 5 tys. zł. Dowodem w sprawie ma być faktura za nocleg i akt urodzenia. Smaczku dodaje fakt, że jeden z tych ośrodków rozpłodu mieści się w dawnym pałacu biskupim w Janowie Podlaskim. Na razie mamy sześć zweryfikowanych przypadków hotelowej produkcji obywateli. Pracownicy firmy mają jeszcze lepiej. Za każde dziecko dostają 10 tys. zł do ręki, co dowodzi, że Grochowski wycenia polską spermę wyżej niż rządowe programy socjalne.

▮ Funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej na warszawskim lotnisku Okęcie udaremnili przemyt 20 egzotycznych papug w walizce. Ptaki odurzono środkami uspokajającymi, by milczały. Większość ma połamane pióra. Jedna nie przeżyła spotkania z polską granicą. Pozostałe 19 trafiło do Centralnego Azylu dla Zwierząt. Gdzie tu sens i logika? Ptaki przybyły nielegalnie, a jedyna różnica polega na tym, że zamiast do prywatnych rąk, trafiły pod adres państwowy. Po prostu zmieniono im kwaterunek na budżetowy.

▮ GUS wypluł liczby, które każą nam wierzyć w cud. Wzrost o 1600 proc.? To nie jest turystyka, to jest inwazja. Czesi, naród dotychczas kojarzony głównie z piciem piwa w cieniu gór, nagle odkryli, że na północy znajduje się wielka kałuża słonej wody, w której można się zanurzyć bez konieczności posiadania paszportu dyplomatycznego czy fortuny szejka. W Kołobrzegu, dotychczasowej kolonii karnej dla niemieckich emerytów, następuje zmiana warty. Germańskie „Guten Tag" ustępuje miejsca swojskiemu „Ahoj!". Bałtyk jako bohater czeskiej wyobraźni to piękna metafora – dowód na to, że aby poczuć się jak w raju, wystarczy mieć odpowiednio niskie oczekiwania i sąsiada, który sprzedaje rybę z frytkami taniej niż na południu Europy.

▮ W Cieszynie objawił się fenomen: nauczyciel biologii postanowił sprawdzić wytrzymałość własnych mięśni i cierpliwość polskiego asfaltu. Grzegorz Szczechla, ciało pedagogiczne z II LO im. Kopernika, przejechał rowerem z Wisły do Gdańska w nieco ponad 15 godzin. 620 km ze średnią prędkością 41 km/h. Oficjalnie była to akcja charytatywna na fundusz stypendialny. Zamiast planowanych 20 tys. zł Szczechla wycisnął z darczyńców ponad 66 tys. To piękny dowód na to, że Polacy chętnie sypną groszem pod warunkiem, że ktoś inny się przy tym solidnie spoci na ich oczach. Wyczyn godny odnotowania, choć osobiście uważam, że 15 godzin na siodełku to kara, na którą nie zasługuje nawet nauczyciel biologii.

▮ W Zakopanem góralska gościnność doczekała się aktualizacji cennika. Od grudnia 2025 r. przyjezdni płacą za parkowanie nawet w niedziele i święta, bo dojenie turystów to pod Giewontem sport uprawiany bez przerwy na modlitwę. Dla miejscowych przygotowano „pomarańczowe koperty" pod ZUS-em i sądem. 120 minut darmowego postoju, żeby mogli bez pośpiechu załatwić rentę lub kolejny wyrok o miedzę. Kto pomyli kopertę, płaci 300 zł frycowego. To uroczy komunikat dla gości: przywoźcie dutki i nie przeszkadzajcie tubylcom.



Rys. OBYWATEL JANEK

▮ Warszawa zafundowała sobie nocną prohibicję, udowadniając, że walka z alkoholizmem najlepiej wychodzi na cudzym portfelu. Właściciele sklepów „Alkohole 24" płaczą nad spadkiem obrotów, a ekspedientki cieszą się z braku awantur, choć jednocześnie klną na mniejszą liczbę godzin pracy i spadek zarobków. Miejscem, gdzie w nocy można legalnie i tanio odlecieć, pozostaje strefa wolnocłowa na Okęciu.

▮ Autostrada A4 (ta między Krakowem a Katowicami) to rynkowy fenomen: im mniej samochodów, tym więcej pieniędzy w kasie Stalexportu, który jeszcze rządzi tym kawałkiem asfaltu. Kierowcy uciekają przed haraczem (72 zł za kurs tam i z powrotem), ale Stalexport i tak chwali się wzrostem wpływów do 315 mln zł. To strzyżenie baranów na ostatniej prostej. Koncesja wygasa w marcu 2027 r., więc Stalexport wyciska z nas wszystko, zanim odda asfalt państwu. Potem ma być rzekomo za darmo.

▮ Mieszkańcy Gdyni i okolic mogą już zacząć zbierać deszczówkę albo myć się w Bałtyku, bo miejskie wodociągi uznały, że woda z kranu to towar luksusowy. Wody Polskie przyklepały nowy, trzyletni plan podwyżek. Cena za metr sześcienny skacze z 12,61 zł do ponad 14, a to dopiero początek radosnej wspinaczki ku 16. Do tego dorzucono obowiązkowy abonament, czyli opłatę za samą przyjemność posiadania rury w ścianie. Uzasadnienie jest standardowe: inflacja, prąd i płace. Poprzednia podwyżka wody była w lutym. Trzyosobowa rodzina zapłaci o 14 proc. więcej, co w języku urzędowym nazywa się uregulowaniem stawek. Czystość wyraźnie zaczyna śmierdzieć drożyzną.

▮ VeloBank, następca Getin Noble Banku, wyrzuca na bruk 950 osób – zarówno swoich, jak i tych, których ledwo co zdążył przejąć po fuzji z Citi Handlowym. Prezes Marciniak z rozbrajającą szczerością twierdzi, że masowe zwolnienia to sposób na „wyższy poziom usług", co brzmi jak leczenie pacjenta poprzez amputację głowy. Na pocieszenie bank oferuje odprawy i psychologa, żeby wyrzucani mogli profesjonalnie zapłakać nad swoim losem. Gilotyna będzie pracować do marca 2027 r. Logika bankowa w pigułce: im mniej pracowników, tym więcej „stabilności" i radości dla zarządu.

▮ Szpital w Sanoku to medyczny fenomen: pacjenci jeszcze dychają, choć placówka jest w stanie rozkładu finansowego. Starosta Robert Pieszczoch (nazwisko sugeruje czułość) ogłosił, że dług urósł do 270 mln zł. Ponieważ 96 proc. dotacji z NFZ pożerają pensje personelu, na leczenie zostaje głównie wata i dobre słowo proboszcza. Pieszczoch, żeby ratować trupa, chce zaciągnąć 50 mln zł kredytu. To urocza sanocka tradycja: obecny starosta nie jest ojcem tego długu, ale dzielnie go adoptował po poprzednim i zamierza podkarmiać. Gdy za parę lat przekaże pałeczkę następcy, ten z tą samą miną niewiniątka ogłosi, że dług wynosi 320 mln zł i że to wina poprzedników.

▮ W Poznaniu odkryto nową metodę leczenia kardiologicznego: szokową terapię parkingową. Pan Mykoła, zamiast spokojnie umierać na serce, musiał stoczyć walkę o przetrwanie przed szlabanem, który wycenił jego trzydniowy pobyt na OIOM-ie na bagatela 1350 zł. Stawka 10 zł za każde rozpoczęte pół godziny parkowania to dowód na to, że w polskiej służbie zdrowia najdroższe nie są leki czy aparatura, ale kawałek chodnika pod budynkiem. Jeśli planujesz zawał w Poznaniu, najpierw weź kredyt obrotowy albo zaparkuj w rowie dwie ulice dalej. Wyjdzie taniej, nawet z mandatem i holowaniem. W tym kraju taniej jest nie żyć, niż leczyć się i parkować jednocześnie.

RJ

PS Informacje powyższe, płynące z mętnych źródeł prasy lokalnej, należy traktować z głęboką, dyktowaną doświadczeniem życiowym nieufnością. Jeśli ktoś z Państwa poczuje się wprowadzony w błąd, uprzejmie prosimy o kierowanie pretensji do własnej naiwności. My za nic nie odpowiadamy.

eprasa.pl e85c9b743a

SŁOWO CZERWONE

Połowa Polaków pod kreską

Kiedy bogaci rządzą biednymi

Kolejne badania potwierdzają diagnozę zespołu badania nierówności Thomasa Piketty'ego: że Polski „cud" gospodarczy dotyczy zdecydowanej mniejszości obywateli. I nie chodzi tylko o to, że 2,5 mln Polaków i Polek żyje w skrajnym ubóstwie, co oznacza, że mają problem z zaspokojeniem podstawowych potrzeb – ale o 17 mln naszych rodaków, którzy żyją w „niedostatku". Jak twierdzi Polski Komitet Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN Polska), już co drugi mieszkaniec Polski żyje poniżej minimum socjalnego. To egzystencja za mniej niż 1711 zł w gospodarstwie jednoosobowym, i za poniżej 1155 zł na głowę w rodzinie czteroosobowej.

Co się na to składa?

Płaca minimalna w 2026 r. wzrosła o 140 zł brutto. Ten ledwie zauważalny wzrost tłumaczy się niską inflacją. Sęk w tym, że wskaźnik inflacji na się nijak do wzrostu podstawowych kosztów utrzymania.

Rosną koszty dachu nad głową – co wynika głównie z wyższych cen energii, gazu, opłat za wywóz śmieci. Wzrost cen materiałów i usług remontowych przekłada się na czynsze. Łączne wydatki dla 50-metrowego lokalu wynoszą od 1500 do 2500 zł miesięcznie, w zależności od lokalizacji. Dla tej niemal połowy ludności, która nie osiąga minimum socjalnego, słabą pociechą są niskie wskaźniki inflacji – skoro żeby nie wpaść w zadłużenie czynszowe, muszą zredukować wydatki do poziomu minimum egzystencji.

Innym wyróżnikiem „niedostatku" jest brak oszczędności. To powoduje brak stabilizacji, pewności jutra. Co druga polska rodzina żyje na krawędzi, bo utrata dochodu, zasiłku, pensji sprawia, że bardzo szybko rodzina taka nie ma z czego żyć. Teoretycznie oszczędności po utracie dochodu powinny wystarczyć na trzy do sześciu miesięcy życia – to tzw. poduszka finansowa, która pozwala na pokrycie niezbędnych wydatków w okresie poszukiwania nowej pracy lub leczenia. Ale w rzeczywistości 40 proc. Polaków ma zaskórniaki na przeżycie kilku dni do miesiąca. Aż 21 proc. nie ma żadnych.

Można oczywiście zastąpić droższe produkty żywnościowe tańszymi. Ale nie można mniej mieszkać, a w przypadku konieczności korzystania z samochodu nie mamy wpływu na rosnące koszty paliwa. Te sztywne wydatki sprawiają, że budżety domowe przestają się domykać i powstaje deficyt, który najubożsi zmuszeni są zasypywać pożyczkami w firmach lichwiarskich, bo biedni nie mają już możliwości korzystania z kredytów bankowych. Nie pozwala na to ich historia kredytowa.

W trudnej sytuacji Francuz czy Niemiec idzie po zasiłek, a Polak po chwilówkę. W takiej sytuacji jest co piąta polska rodzina.

Dlaczego? Bo kryterium dochodowe uprawniające do zasiłku z pomocy społecznej jest szokująco niskie i aktualizowane co trzy lata. Obecne kryteria dochodowe w pomocy społecznej wynoszą 1010 zł dla osoby samotnie gospodarującej oraz 823 zł na osobę w rodzinie. To oznacza, ze aby otrzymać zasiłek trzeba już nie dojadać albo jeść żywność wątpliwej jakości. Nie należy do rzadkości zaopatrywanie się w żywność na granicy albo poza granicą przydatności do spożycia.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Większość z nas po prostu musi liczyć każdą złotówkę, żeby na koniec miesiąca nie być zmuszonym do brania chwilówek. Biedny emeryt najpierw płaci rachunki, a potem dzieli przez 30 to mu zostało i próbuje za to przeżyć. Jednak rodzice najpierw zaspokajają potrzeby dzieci, a dopiero potem płacą rachunki. Napięcie towarzyszące wiązaniu końca z końcem, konieczność podejmowania dodatkowych prac – wszystko to odbija się na zdrowiu.

Ale tych, którzy idąc do sklepu, nie patrzą na ceny, tylko beztrosko wrzucają do koszyka, to wszystko nie obchodzi. Wolą o tym nie wiedzieć i rzeczywiście się nie dowiadują albo tę wiedzę wypierają. Problem w tym, że to ci zamożni i beztroscy zasiadają w ławach sejmowych i w samorządach.

Ci, których dochody pozwalają na beztroskie regulowanie zobowiązań i odkładanie oszczędności, z niesmakiem – a nawet wstrętem – patrzą na tych, którym się gorzej wiedzie. Na dłużników, którzy zalegają z opłatami. Ich sumienie uspokaja przekonanie, że biedni są leniwi albo rozrzutni. Jednak z badań wynika, że niedostatkiem dotkniętych jest 17 mln Polaków. A Polacy są powszechnie uważani za jeden z najbardziej pracowitych narodów świata. I słusznie, bo pracujemy najdłużej w Unii Europejskiej.

Z danych OECD wynika, że przeciętny polski pracownik przepracowuje rocznie ok. 2028 godzin. Wynika to m.in. z nadgodzin i niższej liczby dni wolnych w niektórych branżach niż na Zachodzie.

W porównaniu z państwami Europy Zachodniej Polska jest prawie rajem podatkowym dla bogaczy. Ale jest też bardzo skąpa dla niezamożnych.

Co z tego, że rośnie dochód narodowy, skoro owoce tego wzrostu nie docierają co najmniej do uboższej połowy ludności? Żeby to zmienić, trzeba sprawić, by przedstawiciele tych, którym nie wystarcza do pierwszego, dostali się do sejmu i samorządu. Żeby bogaci przestali rządzić biednymi, bo biedni nigdy nie wyjdą z biedy.

PIOTR IKONOWICZ

Katolicyzm ekstremalny

Potrzebujesz adrenaliny, schudnięcia i mnóstwa doznań seksualnych? Idź na pielgrzymkę.

Gdyby jakiś spec od marketingu turystycznego dostał zadanie wymyślenia ekstremalnej, a jednocześnie najtańszej formy wakacyjnego wyjazdu, to zapewne zaproponowałby uczestnikom przejście od 120 do nawet 650 km pieszo. W programie byłoby codzienne pokonywanie po 30–40 km. Dostęp do pryszniców byłby ograniczony, a spałoby się na podłogach szkół, remiz strażackich i świetlic wiejskich. Zapewniłby chętnym zmęczenie, niedobór prywatności, mnóstwo kurzu, odciski, pęcherze i bolące stawy. Do tego kilka tysięcy młodych ludzi, którzy przez dwa tygodnie mieliby funkcjonować z dala od rodziców i codziennych obowiązków. A jakby do tego dołożyć reklamujący imprezę element przygody, niepewności i możliwość poznania setek nowych osób, powstałby gotowy materiał na hit każdego biura podróży specjalizującego się w turystyce survivalowej. Tyle że wszystkiego tego wymyślać nie trzeba, bo już jest, i to od setek lat, i nazywa się to po prostu pielgrzymką.

Wyrabianie kroków

Kościół od dziesięcioleci opowiada o tym przedsięwzięciu językiem modlitwy, duchowości, wyrzeczenia i rekolekcji. Tyle że liczby pokazują coś jeszcze. Od maja do połowy sierpnia 2025 r. do Jasnej Góry dotarło ponad 74 tys. pątników. Z tego niemal 66 tys. pieszo. Prawie 8 tys. rowerami, a ponad 450 osób biegiem, a do tego uczestnicy pielgrzymki rolkowej i konnej. W ciągu zaledwie dwóch sierpniowych dni, 13 i 14 sierpnia, do Częstochowy weszło około 35,5 tys. osób. Trudno więc mówić o niewielkiej grupce dewotów, a raczej nieźle wypromowanej imprezie dla miłośników adrenaliny.

Liczebność budzi szacunek u specjalistów od turystyki. Pielgrzymka radomska liczy ponad 7 tys. uczestników, krakowska – ponad 5 tys., zaś tarnowska od lat przekracza 10 tys. ludzi. Z samej Warszawy różnymi trasami do Częstochowy podąża ponad 10 tys. Kiedy takie liczby pojawiają się na festiwalach muzycznych, organizatorzy wynajmują ochronę, stawiają setki toalet i zamawiają sztaby logistyków. Tu mechanizm jest podobny. Takie tabuny ludzi trzeba przecież gdzieś nakarmić, położyć spać, wykąpać, zaopatrzyć w wodę i opatrzyć im stopy.

Te zaś są clou programu. Człowiek idący ze Szczecina pokonuje około 640 km. Pielgrzym z Helu ma do przejścia niemal tyle samo. Oznacza to codziennie od 30 do 40 km marszu, często w temperaturach oscylujących wokół 30 st. C. Według organizatorów uczestnik wykonuje nawet ponad 41 tys. kroków dziennie, czyli cztery razy więcej, niż chcą smartwatche. Nieprzypadkowo organizatorzy zalecają przygotowania fizyczne na wiele tygodni przed wymarszem, stosowanie elektrolitów, kremów przeciwsłonecznych, środków przeciwzapalnych, specjalistycznych plastrów hydrokoloidowych oraz odpowiednio rozchodzonego obuwia. Czy nie brzmi to jak instrukcja przygotowania do biegu ultra?.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Odmienne stany duchowości

Najciekawiej robi się po zakończeniu dziennego etapu. W folderach pielgrzymkowych można przeczytać o budowaniu wspólnoty, co oznacza najczęściej spanie na podłodze. Kilkadziesiąt osób rozkłada karimaty obok siebie. Plecak pełni funkcję szafy, śpiwór staje się sypialnią, a łazienka zamienia się w dobro luksusowe. Chusteczki nawilżane urastają do rangi wynalazków cywilizacyjnych porównywalnych z elektrycznością.

Ale właśnie te warunki tworzą atmosferę przypominającą obóz wędrowny. Przez kilkanaście dni kilka tysięcy ludzi funkcjonuje w stanie permanentnego zmęczenia i oderwania od codziennego życia. Psychologowie społeczni twierdzą, że nic tak nie integruje jak wspólne cierpienie. Dlatego uczestnicy wracają z pielgrzymek z poczuciem przeżycia czegoś wyjątkowego. Nie dlatego, że codziennie słyszeli kazania. Dlatego, że przez dwa tygodnie żyli w rzeczywistości odmiennej od tej, którą znają z domu, szkoły, pracy czy uczelni.

Kiedy zaś kilka tysięcy młodych ludzi znajduje się przez kilkanaście dni poza normalnym rytmem życia, zaczynają działać te same mechanizmy, co na festiwalu muzycznym czy wakacyjnym wyjeździe studenckim. W relacjach uczestników przywoływanych przez media regularnie pojawiają się historie o zauroczeniach i pielgrzymkowym seksie. Trudno się temu dziwić – kiedy codziennie pokonuje się razem dziesiątki kilometrów, dzieli wodę, walczy z upałem, odciskami i zmęczeniem, fizyczne więzi tworzą się błyskawicznie.

Oczywiście oficjalny przekaz Kościoła pozostaje niezmienny. Pielgrzymka ma być wydarzeniem religijnym, seks przedmałżeński jest grzechem, a regulaminy zabraniają picia alkoholu. Organizatorzy podkreślają konieczność zachowania odpowiednich norm moralnych. Tymczasem media od lat publikują relacje osób wspominających nocne imprezy, alkohol przemycany na noclegi czy zachowania dalekie od wzorca katolickiej ascezy.

Pielgrzymki są przez Kościół przedstawiane jako przeciwieństwo współczesnej kultury rozrywki. Tymczasem dla wielu uczestników stają się właśnie najbardziej niezwykłą wakacyjną przygodą. Za stosunkowo niewielkie pieniądze można zwiedzić znaczną część kraju, przeżyć fizyczne wyzwanie, poznać setki nowych osób i spuścić ze smyczy wszystko, co się ma do spuszczenia. A gdy ceny tygodniowego pobytu nad Bałtykiem wymagają zaciągnięcia kredytu hipotecznego, perspektywa kilkunastodniowej podróży przez Polskę za ułamek tej kwoty zaczyna wyglądać zaskakująco atrakcyjnie.

I dopiero po dotarciu do Częstochowy uczestnik może skonfrontować pielgrzymkową ascezę z rzeczywistością finansową sanktuarium. Dom Pielgrzyma oferuje pokój jednoosobowy za 140 zł, a w standardzie podwyższonym za 230 zł. Dwójka kosztuje odpowiednio 210 lub 310 zł, trójka – od 250 do 360 zł. Bo duchowość duchowością, ale rachunek za nocleg musi się zgadzać.

Można więc odnieść wrażenie, że współczesna pielgrzymka funkcjonuje jednocześnie w dwóch światach. W pierwszym pozostaje religijnym rytuałem, a w drugim staje się czymś bardzo przypominającym masową imprezę i ekstremalną turystykę.

Tyle że zamiast dyplomu z biegu ultra dostaje się obrazek z Matką Boską, a zamiast certyfikatu ukończenia rajdu – błogosławieństwo na Jasnej Górze.

Adrenalina uszlachetnia

W średniowieczu jedni zakładali włosiennice, inni biczowali się po plecach, jeszcze inni maszerowali setki kilometrów do świętych miejsc, żywiąc się tym, co akurat udało się znaleźć przy drodze. Potem przyszła nowoczesność, telewizja, internet i tanie linie lotnicze. Kościołowi coraz trudniej było przekonać człowieka, iż godzina w kościele jest przeżyciem porównywalnym z Netflixem, koncertem czy weekendem w aquaparku. No to ktoś pogłówkował i rozwinął twórczo koncepcję standardowej wędrówki do sanktuarium, sprzedając doznanie religijne jako sport ekstremalny.

Narodziły się nocne pielgrzymki i ekstremalne drogi krzyżowe. Sama nazwa jest majstersztykiem marketingowym. Przecież „Droga Krzyżowa" brzmi jak coś, na co chodziła babcia. Natomiast „Ekstremalna Droga Krzyżowa" przypomina już bardziej reklamę maratonu, biegu survivalowego albo kursu dla komandosów.

W Przasnyszu oferta wygląda nader konkretnie. Uczestnik ma do przejścia 45 km. Organizatorzy podkreślają, że uczestnicy mają przed sobą głównie lasy, drogi gruntowe i żwirowe. Asfaltu jest niewiele. Przy czym współczesny pokutnik nie może już liczyć wyłącznie na łaskę bożą. Musi zabrać latarkę czołową, telefon, powerbank, kamizelkę odblaskową, folię NRC, aplikację mobilną i oczywiście krzyż. Dawny pielgrzym miał kij i modlitwę, dzisiejszy – przypomina bardziej uczestnika rajdu terenowego sponsorowanego przez sklep z elektroniką.

Jeszcze ciekawiej robi się w Płocku. Tam organizatorzy przygotowali dwie wersje cierpienia. Pierwsza liczy 46 km, druga – tylko 42. Hasło reklamowe całego przedsięwzięcia rozwala: „Nie warto żyć normalnie, warto żyć ekstremalnie". A jeszcze niedawno katolik słyszał, że powinien żyć skromnie, pokornie i zwyczajnie. Teraz okazuje się, że zbawienie wymaga doświadczeń survivalowych.

W Łukowie ekstremalność została dokładnie policzona: do przejścia było 45 km. Organizatorzy podali nawet sumę podejść wynoszącą 228 m. Wygląda na to, że pokuta weszła w erę statystyk i można sobie sprawdzić w aplikacji, na którym kilometrze cierpienie osiąga parametry zgodne z regulaminem.

Prawdziwy rozmach widać dopiero przy nocnych pielgrzymkach organizowanych regularnie. Z Kadzidła do Wykrotu pielgrzym ma do pokonania 21,5 km. Trasa podzielona jest na cztery odcinki. Pierwszy liczy dokładnie 6,7 km. Start o godz. 20.30. Autobusy powinny dowieźć wiernych najpóźniej do 20.20.

Jeszcze ambitniej wygląda przedsięwzięcie łączące Miedniewice, Szymanów i Niepokalanów. Tutaj pielgrzymowanie odbywa się od stycznia do grudnia. Apel Jasnogórski, msza o 21.00, wymarsz ok. 22.30, postoje ok. 1.00 i 3.00, dojście ok. 5.30, msza o 5.45. Ma się wrażenie, że to rozkład jazdy nocnego pociągu.

Najpiękniejszy jest jednak regulamin. Organizatorzy zastrzegają, że pielgrzymka jest przedsięwzięciem non profit. Nie zapewniają jedzenia. Nie zapewniają napojów. Nie zapewniają wygód. Zakazują alkoholu, narkotyków i papierosów. Jednocześnie przypominają, że znakiem pielgrzyma jest krzyż. Jeden z zapisów głosi nawet: „Dobry pielgrzym to taki, jak by go nie było".

Kościół nie ukrywa, że oferta ta jest czymś więcej niż zwykłą modlitwą. W materiałach promocyjnych powtarzają się słowa „wyzwanie", „adrenalina", „przekraczanie granic", „ekstremalność", „siła charakteru". Dawnych biczowników przebrano w odzież trekkingową, zamiast kostura mają kijki nordic walking, a miast włosiennicy – kurtkę z membraną.

A cała ta infrastruktura cierpienia kosztuje. Buty trekkingowe to wydatek od 300 do 800 zł. Porządna czołówka kosztuje od 100 do 300 zł. Odblaski, termos, plecak, odzież techniczna, powerbank i prowiant potrafią podnieść koszt nocnego umartwiania się do ponad tysiąca złotych. Średniowieczny biczownik miał pod tym względem łatwiej.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl e85c9b743a

Kapitalizm dla każdego



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Czy Boliwii grozi los Wenezueli?

Boliwia pogrążyła się w spirali protestów, starć i paraliżu gospodarczego. Niepokoje społeczne w tym andyjskim kraju zaczęły się już w grudniu 2025, czyli zaledwie miesiąc po wyborczym zwycięstwie prawicy, gdy do władzy doszedł Rodrigo Paz Pereira, kandydat Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Jego hasłem wyborczym było: „Kapitalizm dla każdego".

Paz obiecał ożywienie gospodarki poprzez reformy rynkowe i cięcia wydatków. Po objęciu władzy rozpoczął realizację neoliberalnych reform. Już w grudniu zapowiedział zmniejszenie o 30 proc. wydatków publicznych. Jednocześnie zniósł podatek od wielkich fortun, podatek od transakcji finansowych, podatek od gier hazardowych i podatek od promocji firm prywatnych – wszystko dla promowania prywatnej inicjatywy.

W krótkim czasie jego rząd pogrążył kraj w kryzysie – nawet głębszym, niż się spodziewano. Nowy prezydent obciął subsydia państwowe do paliw, skutkiem czego ceny benzyny skoczyły o 86 proc., a ceny ropy naftowej o 162 proc. Pociągnęło to za sobą podwyżkę cen innych produktów, co wywołało bardzo liczne demonstracje i wiece.

Jednocześnie okazało się, że paliwo na rynku było tak złej jakości, że ponad dziesięć tysięcy samochodów uległo awariom. Według państwowej spółki węglowodorowej YPFB, w ciągu zaledwie kilku tygodni za pośrednictwem oficjalnego systemu rejestracji szkód zebrano co 10 800 zgłoszeń. Pierwsze odszkodowania trafiły już do paru tysięcy użytkowników, ale ogólna liczna zgłoszeń stale rośnie i problem wydaje się daleki od rozwiązania.

Nie jest to pierwszy problem dotyczący jakości benzyny. Już w lutym zgłaszane były uszkodzenia motocykli spowodowane zanieczyszczoną benzyną. W kraju, w którym transport drogowy jest niezbędny dla codziennego życia, takie anomalie mogą szybko przerodzić się w kryzys społeczny.

W imieniu latyfundystów

Prawdziwa detonacja gniewu nastąpiła 10 kwietnia – kiedy gabinet Rodrigo Paz ogłosił ustawę 1720, która miała na celu przekształcenie małej własności ziemskiej w średnią. Według rządu proces ten miał być dobrowolny; chodziło głównie o ułatwienia w dostępie do kredytów rozwojowych. Organizacje rdzennej ludności indiańskiej i chłopów dostrzegły w nim jednak zagrożenie dla wspólnotowej własności ziemi. Przeciwnicy ustawy wskazują, że niesie ona ze sobą niebezpieczeństwo stopniowej kumulacji małej własności, zadłużania jej, a w konsekwencji wykupu przez miejscowych latyfundystów i wielkie firmy zagraniczne.

Aby zrozumieć głębię obecnego kryzysu, należy pamiętać o długiej historii wykluczenia społeczności indiańskich – stąd relacje między państwem a rdzenną ludnością należą do najdelikatniejszych aspektów tego kryzysu. Boliwia należy do krajów Ameryki Łacińskiej o najwyższym odsetku ludności indiańskiej, zwłaszcza Keczua, Ajmara i Guarani. Oni wszyscy byli przez lata marginalizowani i w gruncie rzeczy wykluczani z życia publicznego przez elity polityczne i gospodarcze złożone z białych, którzy stanowią tylko 15 proc. boliwijskiego społeczeństwa.

Biała mniejszość zawsze traktowała rdzennych mieszkańców z pogardą, często nazywając ich „małpami" lub „zasranymi Indianami". Latyfundyści z Santa Cruz do tej pory wynajmują paramilitarne bojówki lub zwykłych bandytów do terroryzowania indiańskich wspólnot.

Historycznym momentem społecznego wyzwolenia tych wspólnot stało się dojście do władzy Evo Moralesa w 2006. Morales, pierwszy prezydent wywodzący się z ludu Ajmara, promował nową, wielonarodową konstytucję i silne uznanie praw społeczności indiańskich. Podkreśleniem wieloetnicznego charakteru państwa boliwijskiego było umieszczenie w parlamencie i siedzibie rządu indiańskiej flagi whipala. Prezydent Paz kazał tę flagę zdjąć – albowiem nie uznaje wieloetniczności Boliwii. W trakcie demonstracji biali demonstranci często palą i depczą flagę wiphala, prowokując Indian do dalszych zamieszek.

Nic więc dziwnego, że powrót konserwatystów do władzy jest przez społeczności rdzenne – a także wiejskie – postrzegany jako zagrożenie dla praw nabytych w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

To podsyca coraz bardziej radykalną polaryzację. Największe ryzyko tkwi w tym, że polaryzacja taka doprowadzi do nieodwracalnej eskalacji. Boliwia doświadczyła już zamachów stanów, masakr, rządów wojskowych i powstań ludowych. Każdy kryzys niesie ze sobą groźbę przemocy.

Lud czy imperium?

Protesty osiągnęły zasięg ogólnokrajowy. Górnicy, związki zawodowe pracowników transportu, nauczyciele i zwolennicy byłego prezydenta Evo Moralesa okupowali ulice i place. W wielu obszarach wiejskich blokady odizolowały całe miasta, powodując braki w zaopatrzeniu i utrudnienia w pracy szpitali.

Zablokowano ponad dziewięćdziesiąt dróg w sześciu departamentach, zwłaszcza w La Paz i Cochabamba, które uznawane jest za bastion byłego prezydenta Evo Moralesa.

„Nadszedł czas, aby zdecydować, kto rządzi: lud czy imperium?" – mówił indiański przywódca, którego kandydatura została zdyskwalifikowana w wyborach prezydenckich w 2025. Jego apel – „zbuntujmy się przeciwko modelowi neoliberalnemu i państwu kolonialnemu" – znajduje poparcie większości społeczeństwa.

Od konserwatywnego prezydenta protestujący oczekują już tylko rezygnacji. „Que renuncia, carajo" – rezygnuj, cholera – krzyczał tłum zebrany pod pałacem Quemado, siedzibą rządu i prezydenta. Vincente Salazar, przewodniczący Federacji Robotników Chłopskich La Paz im. Tupaca Katariego – jednego z głównych ruchów biorących udział w powstaniu – podkreśla, że jest to najważniejsze żądanie, nie tylko rdzennej ludności w Boliwii.

Dużo mówi się o referendum w sprawie odwołania Paza z urzędu prezydenta, jako rozwiązaniu pośrednim. Prawnie opcja ta jest możliwa dopiero w połowie jego kadencji, czyli za dwa lata – wielu sugeruje jednak przyśpieszenie sprawy, a nawet ogłoszenie przedterminowych wyborów. Związki zawodowe potępiają nasilenie represji, które doprowadziło do ponad 360 aresztowań i śmierci 22 osób.

W odpowiedzi Paz zatwierdził ustawę 1731, która upoważniła władzę wykonawczą do wysłania sił zbrojnych na ulice i ogłoszenia stanu wyjątkowego. Pomimo braku pieniędzy na zaspokojenie podstawowych potrzeb społecznych, rząd nie miał problemu z przeznaczeniem 8,5 mln euro na zakup środków chemicznych – np. gazu łzawiącego – w celu rozproszenia protestów. Mówi się, że to ukłon w stronę boliwijskich przedsiębiorców, którzy narzekali na „niewystarczającą zdolność władzy wykonawczej do działania" w celu stłumienia protestów.

Oczywiście Stany Zjednoczone opowiadają się po stronie Paza, dzięki któremu po dwudziestu latach odzyskały wpływy w tym południowoamerykańskim kraju. Chodzi przede wszystkim o dostęp do litu i innych surowców, które Boliwia udostępniła amerykańskim firmom w ramach memorandum w sprawie „współpracy w zakresie kluczowych minerałów" podpisanym 27 kwietnia 2026.

Niezaskakująco, sekretarz stanu Marco Rubio odniósł się do wewnętrznego kryzysu w Boliwii z właściwym Amerykanom taktem: „Niech nikt nie wątpi, Stany Zjednoczone popierają legalny, konstytucyjny rząd Boliwii. Nie pozwolimy przestępcom i handlarzom narkotyków obalić demokratycznie wybranych przywódców na naszym kontynencie"… Pod względem reakcji na niezadowolenie ludu i żądania sprawiedliwości społecznej w krajach Ameryki łacińskiej, administracja Trumpa niczym nie różni od poprzedników.

Indianie przeciw oligarchii

19 czerwca rząd Paza podpisał porozumienie z szefem Boliwijskiej Centrali Robotniczej, Mario Argollo. Przywódcy Centrali jako warunek zaprzestania protestów i blokad dróg przedstawili powstrzymanie procesu prywatyzacji, kapitalizacji i przekazywania strategicznych dla kraju przedsiębiorstw publicznych w zagraniczne ręce, a także niestosowanie się do zaleceń Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Porozumienie odrzuciła Federacja Robotników Chłopskich, która zapowiedziała, że zamierza kontynuować walkę z rządem, utrzymać blokady dróg oraz stan mobilizacji społecznej.

Sytuacja w Boliwii jest wciąż daleka od rozwiązania. Wiele wskazuje na to, że konflikt ten zmienił swój charakter. Po porozumieniu między rządem i Boliwijską Centralą Robotniczą na placu boju pozostały głównie organizacje indiańskie. Obecna walka ma coraz bardziej charakter konfliktu etnicznego, którego stronami jest biała oligarchia związana z USA i ludy indiańskie walczące o swoje prawa.

ANDRZEJ ULMER

Bez sentymentów

Senegalska wojna na górze

Jak powszechnie wiadomo, w polityce ważniejsze od przyjaźni są ambicje i rywalizacje o władzę. W Senegalu sytuacja jest o tyle ciekawa, że prezydent uwalił premiera, któremu wprost zawdzięcza stanowisko głowy państwa.

Najpierw współpraca, później walka

W marcu 2024 r. w Senegalu odbyły się wybory prezydenckie, które wygrał Bassirou Diomaye Faye – zwolniony z więzienia zaledwie na kilka dni wcześniej. Na wolność, po odsiedzeniu dwóch lat, wyszedł także najpopularniejszy senegalski polityk Ousmane Sonko. Jemu prawo zabraniało kandydowania na prezydenta – ponieważ został skazany za „moralne korumpowane" młodej osoby, a także za „przygotowywanie powstania przy pomocy grupy terrorystycznej".

Popularność Sonko to efekt jego twardej postawy opozycyjnej, antykolonialnej, antyestablishmentowej. Po jego skazaniu wielu jego zwolenników, głównie ludzi młodych, wyszło na ulice i demonstrowało przed jego domem. Doszło do starć z siłami bezpieczeństwa, kilku demonstrantów zginęło.

Prezydent Macky Sall zdawał sobie sprawę z tego, że Sonko będzie jego najgroźniejszym rywalem i dlatego postanowił go z tej rywalizacji wyeliminować. Sall początkowo miał zamiar ubiegać się o trzecią kadencję, co byłoby niezgodne z konstytucją. Później jednak wysunął swojego kandydata – premiera Amadou Ba.

Naprzeciwko niego stanął Bassirou Diomaye Faye – polityk raczej nieznany i pozbawiony charyzmy cechującej Ousmane Sonko, jednak przez Sonko poparty. To wystarczyło do zwycięstwa. Wyborcy, głosując na Faye, faktycznie oddawali głos na Sonko. Przedstawiciel opozycji wygrał bez problemów z nominatem niepopularnego prezydenta, zdobywając 54,28 proc. już w pierwszej turze (Ba miał 36,2 proc).

W osiem miesięcy po wyborach prezydenckich odbyły się parlamentarne, w których Sonko już mógł kandydować. Jego formacja – Sojusz Patriotyczny na rzecz Pracy i Etyki znany pod skrótem Pastef – wygrała miażdżąco, zdobywając 130 spośród 165 mandatów. Ousmane Sonko został premierem i utworzył rząd.

W ten sposób obaj politycy podzielili się władzą. Jednakże przymierze nie trwało zbyt długo. 23 maja br. prezydent zdymisjonował premiera wraz z jego rządem. Nie oznaczało to jednak końca jego politycznej kariery. Już po trzech dniach został wybrany na przewodniczącego parlamentu – uzyskując 132 głosy, tj. o dwa więcej niż jego partia ma deputowanych. Wcześniej parlament przywrócił mu mandat poselski, z którego zrezygnował po objęciu teki premiera. Co skądinąd wskazuje, że w Senegalu – w odróżnieniu od innych znanych nam krajów – poważnie traktuje się rozdział władzy ustawodawczej i wykonawczej.

Pastef w rozkroku

Tymczasem Faye mianował nowego szefa rządu, którym został były funkcjonariusz Centralnego Banku Państw Zachodniej Afryki Ahmadou Al Aminou Mohamed Lô. Nowy premier zapowiedział, że jego rząd nie będzie zmieniał kierunku, a raczej metody działania. W skład nowego rządu weszli głównie technokraci – zdaniem premiera o wysokich kwalifikacjach. Nie znaleźli się tam natomiast ludzie Sonko, czołowi politycy jego partii Pastef. W ramach wstępnych konsultacji nie udało się bowiem osiągnąć porozumienia co do udziału Pastef w przyszłym rządzie. W oficjalnym oświadczeniu partii stwierdzono, że jej członkowie biorą udział w rozmowach rządowych jedynie we własnym imieniu.

Pastef siedzi dziś okrakiem na barykadzie. Z jednej strony zapowiada, że będzie opozycją; z drugiej zaś deklaruje, że nie zgłosi wniosku o votum nieufności wobec nowego rządu. Padają deklaracje współpracy z prezydentem; a jednocześnie Sonko zarzuca mu zdradę programu partii. Komitet Wykonawczy Pastef oświadczył o gotowości wsparcia prezydenta „w ramach szczerej odpowiedzialnej współpracy", m.in. w odniesieniu do łagodzenia wzrostu kosztów utrzymania czy zwalczania korupcji.

Drogi Sonko i Faye rozeszły się przez różnice zdań w kwestiach gospodarczych: rządowe plany cofnięcia dopłat do ropy naftowej, a przede wszystkim – powrotu do kontaktów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Fundusz wstrzymał zatwierdzoną w 2003 r. pożyczkę 1,8 mld USD po tym, gdy nowe władze oskarżyły poprzedni rząd o ukrywanie części długu.

Sonko jest zdecydowanym krytykiem MFW i odrzuca możliwość negocjacji w sprawie ewentualnych nowych kredytów. Faye zajmuje bardziej pojednawcze stanowisko – i wiele wskazuje na to, że finansista na czele rządu ma służyć właśnie powrotowi do negocjacji z Funduszem.

Sytuacja jest o tyle krytyczna, że dług publiczny osiągnął poziom 132 proc. PKB, a jego obsługa pożera trzymiesięczne dochody budżetowe. Sonko jest jednak przeciwny uzależnianiu się od zagranicy – zwłaszcza od MFW, który narzuca współpracującym z nim państwom brutalne cięcia budżetowe.

Remis ze wskazaniem na prezydenta

Pomiędzy dwoma dawnym przyjaciółmi, a obecnie rywalami, jak do tej pory istnieje chwiejna równowaga, z lekkim przechyłem na stronę Faye. Ma on co prawda swój rząd – ale nie ma większości parlamentarnej ani poparcia ze strony najbardziej wpływowej siły politycznej.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Z kolei Sonko wciąż ma mocną pozycję: nie tylko został szefem parlamentu, ale na dodatek czerwcowy kongres Pastef ponowie wybrał go na przewodniczącego partii; kontrkandydatów nie było.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy rywalizacja obydwu polityków ma wymiar bardziej merytoryczny – czy personalny. Z czystko ludzkiego punktu widzenia Faye okazał niewdzięczność; nie jest to jednak przypadek szczególny – wspomnijmy choćby późne relacje między Putinem i Jelcynem.

Zapewne prezydent Faye uznał, że jest dość silny, aby sterować rządem. Premier Sonko podkreślał zaś, iż nie jest on szefem gabinetu ślepo posłusznym i wszystko akceptującym. Trudno przewidzieć, jak długo potrwa obecny pat i jak się zakończy — zaostrzeniem konfliktu czy jakąś formą porozumienia. Nie można też wykluczyć, że ewentualne porozumienie z MFW i narzucona przez Fundusz polityka cięć – jeśli nowy rząd rzeczywiście zmierza w tym kierunku – wywoła opór społeczny dość silny, żeby doprowadzić do upadku rządu i powołania nowego, bardziej uległego wobec Pastef. Może też dojść do tego, że Faye poczuje się ostatecznie przegranym i ustąpi z urzędu. W takim przypadku Ousmane Sonko zostanie wybrany na prezydenta, co da mu pełnię władzy w kraju.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl e85c9b743a

Pięć lekcji Burnhama dla polskiej lewicy

Partia Pracy dla ludzi pracy


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Polska lewica dużo mówi o wielkich ideach, obronie praworządności, rozliczeniu afer, światowych problemach. Mniej odpowiedzi ma na pytanie o wzrost kosztów życia.

Tymczasem w Wielkiej Brytanii premierem został właśnie Andy Burnham – polityk, który daje nadzieję, że można być lewicowcem bez sprawiania wrażenia, że celem w polityce jest wygranie dyskusji na Twitterze.

Burnham objął urząd po rezygnacji Keira Starmera. Zapowiedział, że chce zakończyć polityczną niestabilność, obniżyć koszty życia oraz oddać więcej władzy regionom.

Kim jest Andy Burnham?

To jeden z najbardziej doświadczonych polityków Partii Pracy. Był ministrem zdrowia za czasów Gordona Browna, dwukrotnie bez powodzenia walczył o przywództwo w partii, przegrał i postanowił wyjechać z Londynu. I właśnie wtedy zaczął wygrywać. Od 2017 r. jako burmistrz Manchesteru zbudował markę polityka, który bardziej interesuje się ceną biletu autobusowego niż politycznymi intrygami w Westminsterze. Walczył o większą autonomię regionów, tani i punktualny transport publiczny, mieszkania, bezdomnych i usługi publiczne. Zyskał nawet przydomek „King of the North" – Król Północy.

To dość niezwykła kariera. W czasach, gdy większość polityków uważa samorząd za poczekalnię przed ministerstwem, Burnham potraktował go jak laboratorium.

Czy polska lewica – Razem i Nowa Lewica – mogłaby się od niego czegoś nauczyć?

1: Klasa pracująca naprawdę istnieje.

Największą przewagą Burnhama jest to, że nie udaje, iż robotnicy zniknęli wraz z zamknięciem ostatniej kopalni.

Jego polityka koncentruje się na ludziach, którzy codziennie wstają do pracy, płacą kredyty, jeżdżą autobusami i martwią się rachunkami. Brzmi banalnie. A jednak w europejskiej lewicy zrobiło się to zaskakująco egzotyczne.

W Polsce lewica często mówi językiem absolwenta prestiżowych studiów społecznych. Burnham mówi językiem kierowcy autobusu, pielęgniarki i magazyniera.

Nie dlatego, że udaje. Wie, że to ich głosy walczy.

2: Koszty życia są ważniejsze niż wojny kulturowe.

Pierwsze wystąpienie Burnhama jako premiera praktycznie nie dotyczyło wielkiej polityki, tożsamości ani internetowych wojen kulturowych.

Mówił o rachunkach, mieszkaniach, bezdomności. O transporcie publicznym.

O tym, ile ludziom zostaje w portfelu pod koniec miesiąca. Zapowiedział szybkie działania mające obniżyć presję kosztów życia oraz walkę z bezdomnością.

To stara szkoła socjaldemokracji. Najpierw lodówka, potem ideologia.

3: Imigracja? Ani „otworzyć granice", ani „wszyscy won".

Jednym z powodów sukcesów Burnhama jest pragmatyczne podejście do migracji.

Nie przejął brutalnej retoryki brytyjskiej prawicy. Ale też nie udaje, że obawy mieszkańców są tylko przejawem rasizmu.

Mówi o kontrolowanej migracji, inwestycjach w usługi publiczne oraz ochronie rynku pracy. Uznaje, że państwo musi jednocześnie chronić prawa migrantów i odpowiadać na realne obawy pracowników dotyczące płac, mieszkań czy przeciążonych usług publicznych. To stanowisko, którego w Polsce dobrze nie słychać.

Tymczasem większość wyborców nie chce świata bez granic – nie chce też prawicowych bojówek próbujących wmówić ludziom, że pilnują bezpieczeństwa.

4: Kraj nie kończy się na stolicy.

Burnham od lat powtarza: Londyn nie jest Wielką Brytanią. W Anglii ma to oczywiście nieco inny sens, bo London rzeczywiście dominuje gospodarczo, finansowo oraz bardzo różni się do reszty kraju.

Dlatego walczył o przekazywanie kompetencji samorządom, inwestycje poza stolicą i wzmacnianie ośrodków władzy na prowincji.

To właśnie doświadczenie samorządowe stało się fundamentem jego programu jako premiera. Jednym z jego głównych postulatów jest dalsza decentralizacja państwa i przekazanie większej liczby decyzji regionom.

Brzmi znajomo? W Polsce samorządy są silne, ale po latach rządów PiS i zawłaszczania każdej instytucji postulaty o decentralizacji władzy też mogą brzmieć atrakcyjnie.

5: Lewica nie musi być partią wielkich manifestów

Burnham jest ciekawym przypadkiem. Nie uchodzi za radykała, polityka wiecowego. Nie krzyczy. Nie próbuje codziennie wywoływać burzy w internecie.

Jego polityka polega raczej na naprawianiu autobusów niż ratowaniu całego świata.

I paradoksalnie właśnie dlatego potrafił odbudować zaufanie wielu wyborców klasy pracującej, którzy wcześniej odpływali do konserwatystów albo populistów.

Oczywiście Polska nie jest Wielką Brytanią. Ale problem wygląda podobnie. Wiele tematów nośnych społecznie próbuje zawłaszczyć radykalna prawica.

Coraz więcej wyborców chciałoby usłyszeć od lewicy nie tylko przeciwko komu protestuje, ale przede wszystkim jak zamierza obniżyć rachunki, skrócić kolejki do lekarza i sprawić, żeby młody człowiek mógł kupić mieszkanie.

Burnham pokazuje, że lewicowa odpowiedź może być jednocześnie społeczna, pragmatyczna i patriotyczna – w lokalnym znaczeniu. Nie trzeba wybierać między obroną pracowników, a nowoczesnością.

Brytyjski polityk nie ma łatwego zadania – trudno będzie mu odbudować zaufanie do całej Partii Pracy i odbić klasę pracującą z rąk antyimigranckiej prawicy.

Dlatego warto go obserwować i wyciągać wnioski.

LEON ORŁOWSKI

Sława i w kamasze

Ukraińskie metody rekrutacji do woja


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Na początku lipca we Lwowie doszło do bijatyki między zielonymi ludzikami z TCK – Terytorialnego Centrum Rekrutacji – i obywatelami, którzy nie chcieli dać się zrekrutować. Konflikt sprowokował koleś w mundurze moro bez żadnych oznakowań – co jest stałym wystrojem ukraińskich rekruterów; niektórzy dodatkowo noszą kominiarki – który wyskoczył z samochodu, dogonił przechodzącego obok młodzieńca i bez uprzedzenia uderzył go od tyłu, pięścią w podstawę czaszki. Można to wszystko obejrzeć na filmiku, bo ukraińska ulica reaguje na zielone ludziki z czujnością.

Rozmowa wychowawcza

Następnie rekruterzy wciągnęli młodzieńca do samochodu – co wywołało zamieszki, w których kilkuset młodych ludzi przewróciło pojazd TCK, a niektórzy odtańczyli na nim taniec zwycięstwa. Nazajutrz lokalni żołnierze odnaleźli protestujących – czego skutkiem był kolejnym filmik, na którym grupka młodzieńców stoi na baczność i na komendę wznosi okrzyk „Sława TCK". A następnie jeden z nich – nie wiemy, ile ma lat, ale na pełnoletniego nie wygląda – wygłasza samokrytykę: „Przyznaję się do winy i biorę pełną odpowiedzialność za swoje czyny, za trzy miesiące przejdę pełne szkolenie wojskowe i wstąpię do sił zbrojnych Ukrainy".

To nie koniec. Dmytro Kucharczuk, zastępca dowódcy 3. Korpusu Armii Sił Zbrojnych Ukrainy, nie poczuł się usatysfakcjonowany. „Widziałem nieszczere przeprosiny za wczorajszą sytuację we Lwowie i uznałem, że potrzebne są szczere. Oto jak one wyglądają. Przeprowadzono rozmowę wychowawczą, a zdrajcę przekazano odpowiednim władzom. Dziękuję zaniepokojonym anonimowym patriotom" – napisał Kucharczuk na swoich socjalach, a poniżej umieścił filmik, na którym śmiertelnie przerażony młody człowiek, zacinając się i jąkając deklamuje: „Ja, Stanyr Roman Witalijowycz, popełniłem wczoraj czyny niezgodne z prawem. Dotknąłem samochodu TCK, będąc pod wpływem alkoholu. Dotknąłem żołnierzy pełniących służbę. W ten sposób wywołałem zamieszki. Naprawdę nie chciałem tego zrobić. Szczerze przepraszam ukraińską armię oraz wszystkich mieszkańców Ukrainy. Jestem gotów ponieść każdą karę, która zostanie mi wyznaczona". Deklamacja przerywana jest płaczem, a dzieciak chwieje się na nogach. Trudno mi sobie wyobrazić, co szweje zrobili temu młodemu człowiekowi – ale jestem dziwnie pewna, że nie ograniczyli się do rozmowy.

Busyfikacja

Ten rodzaj publicznego upokorzenia nie jest, jak się okazuje, niczym szczególnym. Metody rekrutacyjne armii ukraińskiej nie mają nic wspólnego z poszanowaniem praw człowieka czy demokracją. I nie mówi tego Rosja, tylko komisarz Rady Najwyższej Ukrainy ds. praw człowieka Dmytro Łubinec. Sytuacja musiała osiągnąć poziom krytyczny, skoro ukraiński RPO – odpowiedzialny za negocjacje z Rosją w sprawie wymiany więźniów, a zatem dość zajęty – znalazł godzinę, żeby przyjść do studia kanału Nowiny Live i opowiedzieć o metodach uzupełniania stanu liczebnego ukraińskiej armii.

Zdaniem Łubinca, 90 proc. „rekrutacji" odbywa się z naruszeniem prawa. Na Ukrainie powstało na to specjalne słowo – busyfikcja – nawiązujące do codziennego widoku na ulicach: facetów w mundurach bez znaków identyfikacyjnych, często zamaskowanych, którzy wyskakują z minibusów i po prostu porywają ludzi. Rzecznik mówi o co najmniej czterech potwierdzonych przypadkach śmierci w rękach porywaczy. Jedna z ofiar zmarła w dzień po „zmobilizowaniu", o czym rodzina została zawiadomiona 12 dni później. Armia usiłowała pochować zwłoki bez udziału bliskich, zaświadczenie medyczne jako przyczynę śmierci wskazało atak padaczki, ale kiedy rodzina wreszcie dobiła się do ciała – nosiło ono widoczne ślady tortur.

Ukraińskiego ombudsmana w żaden sposób nie można przy tym uznać za przeciwnika ukraińskiego wysiłku zbrojnego. – Rozumiem, że musimy kontynuować proces rekrutacyjny – mówi Łubinec. – To jest absolutnie zrozumiałe po 12 latach rosyjskiej agresji i pięciu latach pełnoskalowej wojny, ale to wszystko musi się odbywać zgodnie z przepisami państwa ukraińskiego. Jeżeli są problemy, to zmieńmy przepisy. Na zamkniętych spotkaniach wojskowi zawsze mi mówią, że musimy mobilizować. W porządku, ale nie takimi metodami. Myślicie, że to poprawi sytuację na linii frontu? Chłopaki, wobec których stosowane są takie brutalne i nielegalne metody, a priori nie chcą walczyć.

Z AIDS-em, świrem i karabinem

Metody te można oglądać na setkach wieszanych w necie filmików: grupa zbirów wypada z busa, porywa przechodnia i wrzuca do pojazdu, nierzadko spuszczając mu wcześniej wpierdol. Ta łapanka odbywa się w sposób niezgodny z wszelkimi przepisami: dokumenty wskazujące np. na niezdolność do służby wojskowej są odrzucane, często niszczone. Porwanym odbiera się telefony, więc rodziny nie mają pojęcia, co się z nimi stało. Biuro Łubinca, na prośbę rodziny szukało na przykład faceta, który wyszedł ze śmieciami. Znaleźli go sześć dni później na poligonie. Nikt nie poinformował żony, co się z nim stało.

Inna ofiara, 59-letni mężczyzna, został porwany z peronu w jednym z miast Ukrainy Zakarpackiej, gdzie przyjechał do szpitala. Zbiry z TCK wyrzuciły dokumentację medyczną wskazującą na konieczność pilnego leczenia i zaciągnęły nieszczęśnika do centrum rekrutacyjnego – ale ze względu na stan zdrowia żadna jednostka nie chciała go przyjąć, więc stał się swoistym zakładnikiem w centrum, gdzie czekał na „kupca".

Inny przykład to historia człowieka z karłowatością – dość oczywista niepełnosprawność – który został porwany i wysłany na poligon, gdzie jego stan zdrowia pogorszył się gwałtownie, bo kazano mu nosić ciężkie rzeczy, czego robić mu absolutnie nie wolno. Więc wylądował w szpitalu, gdzie odnalazła go rodzina.

Rzecznik wspomniał też dwa przypadki ludzi chorych psychicznie, z kompletem „żółtych papierów": obydwaj dostali do ręki broń, jeden podczas szkolenia zastrzelił dwóch oficerów.

Jeszcze inny „rekrut", w czwartym stadium AIDS, będący także nosicielem wirusa żółtaczki, został przez inspektorów odnaleziony w poligonowej kuchni, gdzie służył jako pomocnik kucharza. Wszyscy ci nieszczęśnicy otrzymali od wojskowej komisji medycznej kategorię „A".

Wrzenie

Intrygującą prawidłowość służby ukraińskiego RPO odkryły, analizując skargi prawników, którym odmówiono dostępu do klientów porwanych przez TCK. Otóż były to wyłącznie prawniczki. Jak się okazało, prawnicy rodzaju męskiego boją się chodzić do centrów mobilizacyjnych, bo wielu zostało przy takiej okazji wziętych w kamasze, mimo dokumentów wyłączających z poboru. Kobiety zresztą też nie są do końca bezpieczne: jedna z adwokatek została pobita tak dotkliwie, że ma cztery operacje połamanej nogi za sobą i zaświadczenie o niepełnosprawności drugiego stopnia. Od roku usiłuje doprowadzić do postawienia winnych pobicia przed sądem – póki co bezskutecznie. Acz Łubinec podkreśla, że ostatnio sytuacja w tej mierze się poprawiła. Wcześniej przestępcy w mundurach byli totalnie bezkarni; w tym roku na wniosek biura rzecznika wszczęto już 30 postępowań. Choć rzecznik mówi też, że liczba naruszeń prawa w procesie rekrutacji wzrosła w ciągu ostatnich dwóch lat 333 razy.

– Jest wiedzą powszechną – mówi Łubinec – że od porywaczy można się wykupić. Cennik jest szeroko znany: w busie 10 tysięcy dolarów, w centrum mobilizacyjnym – już 20 tysięcy. Wykup taki działa jednorazowo: następnego dnia ta sama ofiara może znowu wpaść w łapankę. Oczywiście – podkreśla rzecznik – część obywateli ma środki na łapówki, część nie, co niezaskakująco owocuje głębokim poczuciem niesprawiedliwości.

– Ukraińskie społeczeństwo przekroczyło punkt wrzenia; to już nie są „podziały", wchodzimy w fazę linczów. Bez natychmiastowej zmiany tej sytuacji, ukrócenia naruszeń prawa, pełnej jawności procesu mobilizacji czeka nas potężna konfrontacja. Jeżeli obywatele nie zobaczą właściwej odpowiedzi na działania TCK, wezmą sprawy swoje ręce. Lwów to tylko pierwszy sygnał – przestrzega Dmytro Łubinec.

Za to my, w Polsce, jesteśmy gotowi walczyć do ostatniego Ukraińca.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl e85c9b743a

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Strasznie oburzyło liberalno-lewicowych polityków i dziennikarzy przypomnienie prawdy o in vitro,* ***że metoda ta jest nieetyczna i pociąga za sobą powołanie do istnienia wielu istnień ludzkich, z których nie każde będzie miało możliwość pełnego rozwoju. Cel nie uświęca środków!***

ks. Janusz Chyła, X, 14 lipca

■ *W 2025 roku w całej Europie urodziło się około 6,3 miliona dzieci. Wskaźnik dzietności na naszym kontynencie wynosi średnio około 1,41 urodzeń na kobietę. W 2025 roku w Nigerii (242 miliony mieszkańców – Europa 745 mln) urodziło się około 7,7 miliona dzieci! Wskaźnik dzietności w Nigerii w 2025 roku wynosił około 4,6! Średnia wieku 18. W Europie 45 lat.* ***To są twarde fakty: zdychamy. Czy na pontonach czy na piechotę, tak czy inaczej nas zadepczą i zasiedlą. Taka jest logika biologii.*** *(…)* ***Bóg przekazał w nasze ręce dar kontynuacji dzieła stworzenia. A biały to przykazanie olał. Każdemu według jego uczynków, czyli biały wymrze.***

br. Damian Wojciechowski TJ, Opoka.org.pl, 13 lipca

■ *W tym roku arcybiskup Mediolanu Delpini podjął decyzję, która – jak wyjaśniła jego kuria – podyktowana była „głęboką troską duszpasterską". Procesja Bożego Ciała nie przeszła ulicami miasta. Uroczystości odbyły się w katedrze. Powód? Intensywny ruch uliczny oraz tłumy turystów. W tej sytuacji procesja utrudniałaby życie ludziom, a poza tym mogłaby zostać odebrana jako inicjatywa folklorystyczna.* ***Tymczasem w tym samym czerwcu, kilkanaście dni później, Rzym przeżył kolejną edycję Roma Pride. Osoby LGBTQ+, które lubią chełpić się swoimi niestandardowymi upodobaniami seksualnymi, utworzyły tęczową, głośną paradę (…) Chrystus zamknięty w katedrze to nowoczesna, wrażliwa duszpastersko opcja. W miejsce procesji Bożego Ciała mają wejść nowe „procesje". Te tęczowe.***

prof. Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 10 lipca

■ ***Społeczeństwo, które odrzuca Boga, pogrąża się w lęku. Przynajmniej 30 proc. młodych ludzi w Polsce ma zaburzenia psychiczne, cierpi na depresję, korzysta z psychoterapii lub zażywa psychotropy.*** *(…) Bez celu w życiu, bez relacji z innymi, bojący się o swoją przyszłość. Wychowani bez ojca, w rodzinach, gdzie nie wiadomo, kto brat, kto tata, kto kuzyn, kto ciocia – bo tak wyglądają rodziny patchworkowe, czyli po polsku potworkowe.*

dalej Wojciechowski

■ ***Miłość, nie nienawiść. Zachowaj nas Boże od nienawiści. (…) Każda rewolucja zaczynała się od kłamstwa. Kłamstwo kłamstwem popychało. (…) Minister nie chciał dawać pieniędzy na lewactwo, na demoralizację dzieci i młodzieży, na LGBT, na nienormalności. Za to cierpią minister Ziobro, minister Romanowski i te niewinne kobiety.*** *(…) Nawet nad dziećmi nie mają litości. Zresztą oni mówią, żeby zabijać te dzieci. A z drugiej strony mówią, że jest 14 tys. dzięki in vitro. To obłuda. In vitro to zabijanie wielu dzieci, żeby jedno się urodziło (…).* ***Nie występujemy przeciwko ludziom, tylko przeciwko systemowi.***

o. Tadeusz Rydzyk, 35. pielgrzymka Radia Maryja, Jasna Góra, 12 lipca

■ ***Strefa publiczna – jak każdy inny obszar działania człowieka – ma być zorganizowana zgodnie z prawem Bożym – w pełni zgodnym z prawdą o człowieku i tym, co dla niego dobre.*** *Przywileje są dla małżeństw, a nie konkubinatów i homokonkubinatów. Chcesz przywilejów? Weź ślub, nikt ci nie broni.*

Kaja Godek, X, 18 lipca

■ ***Księża to nie jest zorganizowana grupa przestępcza, jak niektórzy chcieli nam wmówić.*** *Brońmy tych księży, których pomawiają. Oczywiście jak jest grzech, trzeba nazwać sprawy po imieniu i rozliczyć. Nie może być żadnego zła.* ***Przyobleczmy się w dobro.***

dalej Rydzyk



KLECHA

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Księża sprawiają problemy na całym świecie

Worek, korek i rozporek

Rozpasanie kleru to problem bez konkretnego obywatelstwa. Polscy duchowni nie ustępują swoim kolegom z innych krajów, twórczo rozwijając grzechy i grzeszki przypisane do tej profesji. Czasem podpatrują, czasem inspirują. Kościół kat. jest dumny, że rozwija się na innych niż Europa kontynentach, deklasując konkurencję. Tzw. tereny misyjne to dziś prężnie działające parafie i diecezje, gdzie nie brakuje personelu ani wiernych. Przepływ księży odbywa się w drugą stronę: z Afryki przyjeżdżają do nas. Ale kłopoty są te same, co u miejscowych. Bo i ich wychowawcami byli zazwyczaj Europejczycy.

Biskup diecezji Maralal w Kenii, Hieronymus Emusugut Joya, musiał podjąć radykalne kroki, żeby zdyscyplinować swoich podwładnych. Siedmiu suspendował (zawiesił w prawach kapłańskich), a dla reszty przygotował ścisłe wytyczne, do których od tej pory mają się stosować. Kenijscy księża nie będą więc mogli wychodzić wieczorem, nocować poza parafią bez zgody biskupa, zapraszać towarzystwa na noc. Zabronione jest picie po barach, a najlepiej jakby w ogóle nie pili. Ksiądz pod wpływem ma zakaz sprawowania liturgii.

Nietrudno się domyślić, z czym mieli problemy duchowni z diecezji Maralal. Biskup Joya objął diecezję niespełna cztery lata temu i przeprowadził audyt, po którym złapał się za głowę. Okazuje się, że jego kler nic sobie nie robi z celibatu. Jedni księża wdają się w przelotne romanse, inni prowadzą podwójne życie, część bezczelnie mieszka z partnerkami i dziećmi w budynkach parafialnych. Biskup stwierdził, że tak być nie może, bo zamiast służyć Bogu, zaprzątają sobie głowę przyziemnymi głupotami. Roztropny biskup zauważa tu wszakże winę dwóch stron. Do tanga trzeba dwojga, zatem ekscelencja apeluje do kusicielek i kusicieli:

„Tych, którzy zamierzają kusić księży i nakłaniać ich do romansów sprzecznych z ich wiarą oraz kapłańskim powołaniem, proszę: przestańcie! Ci księża są ludźmi i mają uczucia. Jeśli ich uwiedziecie, mogą upaść".

Jak stwierdził niegdyś Rydzyk: „To, że ksiądz zgrzeszył... no zgrzeszył. A kto nie ma pokus?". Ważne, by go nie kusili – zwłaszcza wyspecjalizowane w tym dzieci. Bo dziecko to prawdziwe niebezpieczeństwo – jak zauważał inny klasyk: „ono lgnie, ono szuka, i zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga".

Nie dość, że Kenijczycy nie trzymają rozporka w ryzach, to szlajają się po barach i chleją na umór, gorsząc maluczkich. „Aby zachować godność kapłaństwa, ksiądz nie powinien być widziany w barze" – poucza biskup w liście do diecezjan. Alkohol rozluźnia, a od tego rozluźnienia już tylko krok do złamania celibatu. Toteż każdy ksiądz ma obowiązek stawić się o 19.00 na plebanii na obowiązkowe modły, żeby odgonić pokusy. Po modłach zaś siku i spać.

Pomysły to nienowe – także na polskich plebaniach leżały kiedyś księgi wejść i wyjść, w których zapisywano kiedy, dokąd i w jakim celu ksiądz się wybiera. Życzymy wszakże powodzenia w egzekwowaniu tych srogich wytycznych u dorosłych mężczyzn. Każde wyjście może okazać się ostatnim. Kościół ma wprawę w traktowaniu ludzi jak niewolników, ale obecnie jest to ciut trudniejsze niż kilka wieków temu.

Afrykańscy księża mają wreszcie – jak ich koledzy zewsząd – pokusy materialne. I na ten aspekt zwrócił uwagę biskup Hieronymus Emusugut Joya, omawiając wyniki audytu. Księżom zabrania się odtąd prowadzenia prywatnych biznesów czy nabywania nieruchomości na siebie lub bliskich. Zbytnie przywiązanie do pieniędzy – zdaniem biskupa – podobnie jak poprzednie grzeszki, przeszkadza w pełnieniu posługi.

„Jak ktoś może służyć Bogu, mając własne interesy i musząc utrzymać kobietę i dziecko?" – zapytuje retorycznie biskup. Choć powinien uszanować to, że się do dziecka przyznają, co u polskich księży zdarza się nader rzadko. Pod względem odpowiedzialności kenijscy duchowni wydają się trochę bardziej dojrzali niż nasi.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Triada „worek, korek i rozporek" jest zatem międzynarodowym znakiem rozpoznawczym duchowieństwa. Bawi tylko fascynacja polskiej prawicy księżmi i biskupami z Czarnego Lądu. Nasi prawacy widzą w czarnoskórych czarnych ostatnią nadzieję białego człowieka. Przed ostatnim konklawe liczyli na wybór gwinejskiego kardynała Roberta Saraha, czując w nim potencjał na odnowiciela katolicyzmu po pontyfikacie Franciszka. W afrykańskich hierarchach dostrzegają zaś ostoję starej, dobrej katolickiej moralności, która nie dopuszcza do wynaturzeń serwowanych na europejskich salonach. Cieszą się na import księży z krajów Afryki, choć za migracją ogólnie nie przepadają. Niektóre polskie diecezje i zakony już sprowadzają zagraniczny personel, bo Polacy nie garną się do seminariów.

„W Kościele katolickim trwa walka hierarchów chcących wykorzenić katolicyzm z Kościoła z duchownymi, którzy chcą zachować nauczanie katolickie i konserwatywną moralność. Przeciwnikami katolicyzmu są biali hierarchowie z Zachodu. Obrońcami moralności katolickiej czarnoskórzy biskupi z Afryki, którzy na ostatnich dwu synodach o rodzinie przeszkadzali niemieckim hierarchom w usunięciu z Kościoła moralności katolickiej. Konserwatywna postawa duchownych z Afryki wywołała taką wściekłość posoborowych hierarchów, że wypowiadali oni nawet rasistowskie uwagi pod adresem czarnoskórych duchownych" – czytamy na portalu Fronda.pl. Afrykańscy księża tak mocno stoją na straży tradycyjnej rodziny, że sami zakładają własne, niektórzy nawet po kilka, łącząc tradycję katolicką z afrykańską.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Patriarsze trudy i sąd pracy

Św. Mobbing

Porfiriusz (Prvoslav Perić), patriarcha Serbskiego Kościoła Prawosławnego, został skazany na cztery miesiące pierdla w zawieszeniu na rok za mobbing. Sprawa toczyła się w Słowenii. Sąd nałożył też 10 tys. euro grzywny na parafię prawosławną w Lublanie. Patriarcha miał dopuszczać się mobbingu wobec ks. Željka Lubardy. Lubarda ujawnił defraudacje w parafii i tak zaczęły się jego kłopoty i konflikt z władzami kościelnymi. Proces trwał niemal 10 lat.

Ksiądz Lubarda w czasach rządów poprzednika Porfiriusza zawiadomił organy ścigania o przekrętach Perana Boškovicia – proboszcza lublańskiej parafii, który potem został prawomocnie skazany za wałki finansowe. Gdy na urząd powołano Porfiriusza, polityka się zmieniła.

Nowy patriarcha wysłał Lubardę do parafii w Chorwacji, ale sygnalista się nie podporządkował. Dla prawosławnego księdza wiązałoby się to bowiem z przenosinami całej rodziny i układaniem życia na nowo. Porfiriusz zawiesił go zatem w czynnościach kapłańskich, a sąd kościelny poszedł dalej i wydalił go ze stanu kapłańskiego.

Orzeczono zbrodnię nieposłuszeństwa wobec biskupa, równą nieposłuszeństwu samemu Bogu. Lubarda, nie czekając na boską sprawiedliwość, poszedł do słoweńskiego sądu pracy, z dokumentacją ponad 50. przykładów mobbingu.

Duchowny czuł się nękany, gnębiony, i co tam jeszcze wpisuje się w definicję.

Sąd uznał racje Lubardy, ale media zwracają uwagę na szerszy kontekst kościelno-polityczny. Słoweńcy nie pałają do Serbów ciepłymi uczuciami, a właśnie serbską cerkiew prawosławną mają u siebie.

„Święty Synod Biskupów Serbskiego Kościoła Prawosławnego w reakcji zdecydowanie zakwestionował orzeczenie sądu, określając je jako »skandaliczne« i pozbawione podstaw prawnych. W komunikacie podkreślono, że sprawa opiera się na »bezsensownych pozwach« składanych od lat przez byłego duchownego. Synod twierdzi również, że ani patriarcha, ani jego pełnomocnik nie zostali prawidłowo poinformowani o wszczęciu postępowania – zarzucając, że wyrok zapadł w trybie uproszczonym (skróconym postępowaniu), bez umożliwienia im odniesienia się do zarzutów, co Synod nazwał precedensem bez podstaw proceduralnych. Argumentują ponadto, że decyzje o mianowaniu i przenoszeniu duchownych należą do wyłącznych kompetencji biskupa wynikających z prawa kanonicznego i nie powinny podlegać ocenie sądów państwowych. Synod poinformował, że doradził patriarsze, aby nie wnosił apelacji, uznając postępowanie za motywowane politycznie. Wyrok publicznie skomentował też prezydent Serbii Aleksandar Vučić, który stanął w obronie patriarchy i zakwestionował zasadność orzeczenia słoweńskiego sądu. Chociaż sprawa sądowa nie dotyczy polityki ani relacji międzynarodowych, jej bohater jest jedną z najważniejszych postaci prawosławia utrzymujących bliskie kontakty z Patriarchatem Moskiewskim" – pisze na FB publicysta „Więzi" i KAI, Dawid Gospodarek.



Tak czy owak, uruchomili się polscy komentatorzy, zwracając uwagę że w nadwiślańskim Kościele kat. mobbing również kwitnie, ale nikt z tym nic nie robi.

„Na marginesie – znam księży (też organistów, innych kościelnych pracowników), którzy śmiało mogliby dać do sądu przełożonych za mobbing. Chyba jeszcze takich spraw w Polsce nie było? Czy u nas z jakichś względów to trudniejsze prawnie?" – komentował sprawę Porfiriusza cytowany już Gospodarek.

Jeden z nielicznych przypadków donosu na kościelnego mobbera to sprawa abepe Sławoja Leszka Głódzia, którego niewłaściwe zachowania wobec podwładnych zgłoszono w 2013 r. nuncjuszowi, czyli papieskiemu ambasadorowi w Polsce.

„Przemoc, niszczenie, destrukcja. Przemoc, która sprawia, że jak ktoś spotyka się z arcybiskupem, cieszy się, że to nie on został ochrzaniony, zniszczony, ośmieszony, tylko że to jego sąsiad. To jest jedno z moich trudniejszych doświadczeń" – opowiadał jeden z księży podległych Głódziowi w reportażu TVN24. I co? I niewiele. Arcybiskup doturlał się bezkolizyjnie do emerytury, po czym został sołtysem w rodzinnych stronach. Żyje sobie jak prawdziwy patriarcha, nie obawiając się ani sądu ostatecznego, ani sądu pracy.

MATT KOBOSKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl e85c9b743a

Zakaz wjazdu dla fair play

Mimo wysiłków Trumpa wygrali najlepsi



Rys. MAURIZIO DI BONA

Sport kocha emocjonujące historie pełne zaskakujących zwrotów akcji. Czasem piękne i romantyczne, a czasem gorzkie i groteskowe. Zakończone właśnie Mistrzostwa Świata w USA, Kanadzie i Meksyku przyniosły niestety także te ostatnie.

Na jednym turnieju spotkały się USA i Iran: dwa państwa prowadzące ze sobą gorącą wojnę. Okazało się, że na boisku tak jak na polu walki – wszystkie chwyty dozwolone.

Wojna? To już bywało

Reprezentacje walczących państw już wcześniej spotykały się na wielkich turniejach.

Iran zna ten scenariusz aż za dobrze. W 1986 r. do mistrzostw świata zakwalifikowały się jednocześnie Iran i Irak, mimo że oba kraje prowadziły jedną z najkrwawszych wojen po 1945 r.

Jeszcze wcześniej, podczas mundialu w Hiszpanii w 1982 r., trwała wojna o Falklandy/Malwiny. Na turniej przyjechały obie strony konfliktu: Argentyna, a także trzy reprezentacje Zjednoczonego Królestwa – Anglia, Szkocja i Irlandia Północna.

Nigdy jednak wcześniej nie zdarzyło się, by gospodarzem imprezy było państwo prowadzące działania wojenne przeciwko jednemu z uczestników.

Historia zna przypadki, gdy prowadzenie wojny kończyło się dla reprezentacji sportowym wyrokiem.

W 1992 r. Jugosławia szykowała się do mistrzostw Europy w Szwecji jako jeden z głównych faworytów. 30 maja, na dziesięć dni przed rozpoczęciem turnieju, ONZ przyjęła Rezolucję nr 757, nakładającą sankcje na Federalną Republikę Jugosławii za zajęcie siłowe Bośni i Hercegowiny. W ślad za rezolucją Europejska federacja zdyskwalifikowała drużynę z Bałkanów, a z okazji skorzystała Dania, która mimo dołączenia w ostatniej chwili ostatecznie wygrała cały turniej.

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę FIFA i UEFA wykluczyły z rozgrywek Rosję oraz Białoruś. Sankcje objęły zarówno reprezentacje, jak i kluby.

Ale gospodarza mundialu wyrzucić trudno. Zwłaszcza jeśli gospodarzem jest największe światowe mocarstwo.

Pokojowa nagroda za wywołanie wojny

FIFA wobec USA postanowiła więc pójść inną drogą: interesów i pochlebstw. Prezydent światowej federacji Szwajcar Gianni Infantino od początku swej kariery na tym stanowisku pokazywał, że umie świetnie rozgrywać polityków, aby tylko nie przeszkadzali jego organizacji zarabiać.

Jeszcze gdy Donald Trump przedstawiał się jako polityk kończący wojny, Infantino osobiście wręczył mu pokojową nagrodę FIFA. „To wyjątkowa nagroda" – mówił szef FIFA do Trumpa na scenie wręczając mu statuetkę i złoty medal.

To prawda. Nigdy wcześniej pokojowej nagrody FIFA nie przyznawano. I wszystko wskazuje na to, że już nigdy więcej nie zostanie wręczona. Wyglądała jak jednorazowy prezent dla polityka, który szczególnie lubi kolekcjonować pochlebstwa i ich materialne oznaki.

Wdzięczny za nagrodę Trump spełniał przed turniejem wszystkie życzenia FIFA; pozwolił też ustalić absurdalnie wysokie ceny biletów.

Kilka miesięcy później pierwszy laureat pokojowej nagrody FIFA rozpoczął wojnę przeciwko Iranowi. Historia ma poczucie humoru.

Zasady zostają na granicy

Najbardziej poszkodowana okazała się jednak reprezentacja Iranu.

Irańczycy od początku turnieju zmagali się z problemami pozasportowymi. Część członków sztabu szkoleniowego i technicznego nie mogła w ogóle przyjechać do USA. Zespół miał przez to ograniczony dostęp do logistyków, masażystów i innych pracowników zaplecza. Administracja USA tłumaczyła, że część irańskiej ekipy miała związki z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej – formacją, która cały czas walczy zbrojnie z atakującą Iran armią USA.

Piłkarze Iranu od początku zajęli dyskretne stanowisko w sprawie wojny w ich kraju. Gdy przylecieli do USA, przypięli w marynarki złote przypinki z napisem „#168", odnoszącym się do liczby dzieci i nauczycieli zabitych w ataku na szkołę w Minabie podczas pierwszych dni wojny.

Na miejscu powitały ich protesty irańskiej diaspory w USA, która jest przeciwna teokratycznemu reżimowi i używa zakazanych w Iranie flag narodowych.

Drużyna Iranu jako jedyna drużyna na turnieju podlegała wyjątkowo restrykcyjnym zasadom dotyczącym przemieszczania się.

Mimo rozgrywania swoich meczów na terenie USA, irańska reprezentacja została zmuszona do mieszkania w meksykańskiej Tijuanie, skąd tylko na mecze dojeżdżała do Stanów Zjednoczonych. Zaś razu po ostatnim gwizdku na stadionie – gdy inne drużyny mogły np. regenerować się w ośrodkach odnowy biologicznej – Irańczycy musieli wracać do siebie, bo piłkarzom wygasały jednorazowe amerykańskie wizy przyznawane tylko na czas gry.

Kapitan drużyny Mehdi Taremi w rozmowie z BBC mówił: „Dla nas to logistyczny koszmar. Dlaczego jako jedyna drużyna musimy jeździć na mecze z Meksyku? Traktowanie tak sportowców na poważnym turnieju nie jest w porządku."

Ostatecznie drużyna Iranu nie przegrała żadnego meczu i do ostatniej minuty biła się o awans, ale w wyniku pechowego układu wyników innych drużyn odpadła z turnieju już po fazie grupowej.

Sport zwykle uczy szacunku dla przeciwnika. Ale nie wszystkich. Szef Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego USA Markwayne Mullin – były zawodnik MMA – po odpadnięciu Iranu oznajmił publicznie, że z radości śpiewał i tańczył. Trudno o bardziej wymowny sygnał pokazujący atmosferę otaczającą irańską reprezentację.

Po zakończeniu turnieju Irańczycy pozostawili w Tijuanie list z podziękowaniami dla meksykańskich gospodarzy, ale również oficjalny protest przeciwko warunkom, jakie narzucono ich reprezentacji.

Napisali: „Pomimo wszystkich tych problemów udało nam się osiągnąć dobre wyniki, a świat jest dumny z naszej drużyny. Apelujemy do FIFA: nie pozwólcie, aby gospodarze traktowali zawodników i drużyny w ten sam sposób podczas przyszłych mistrzostw świata".

Infantino odpowiedział tylko, że jako FIFA obiecali Iranowi, że mimo wojny będzie mógł zagrać w turnieju i tę obietnicę spełnił.

Niezależny komitet

Największy skandal turnieju nie dotyczył jednak Iranu, ale reprezentacji USA.

Przed kluczowym spotkaniem z Belgią najlepszy amerykański napastnik Folarin Balogun miał pauzować za ewidentny faul. Wtedy do akcji wkroczył Donald Trump i zadzwonił do szefa FIFA. FIFA szybko zapewniła, że decyzję w tej sprawie podejmie niezależny komitet dyscyplinarny. I rzeczywiście podjął – oczywiście po myśli prezydentów. Faul pozostał faulem. Kary nie anulowano, ale została zawieszona na rok.

„Niezależna" decyzja wywołała falę kpin. Kibice protestowali, a UEFA – organizacja raczej niesłynąca z uczciwości – publicznie krytykowała polityczne naciski i uległość światowej federacji. Jeżeli UEFA zaczyna pouczać kogoś o przejrzystości i niezależności, to sytuacja przypomina moment, w którym episkopat wydaje encyklikę przeciw tuszowaniu molestowania.

Australijscy kibice zareagowali po swojemu. Na ulicach śpiewali prostą przyśpiewkę: „Donald Trump to przestępca seksualny". Nie był to element oficjalnego programu kulturalnego FIFA.

Cały ten chaos odbił się na reprezentacji gospodarzy. Drużyna, która wcześniej zdobyła sympatię neutralnych kibiców i odniosła historyczne zwycięstwo nad Bośnią i Hercegowiną, nagle stała się symbolem politycznych wpływów, obiektem internetowych kpin i niechęci.

Na szczęście czasem piłka przypomina, że jednak ostatecznie gra się na boisku. Belgowie rozbili USA 4:1. Po meczu europejscy piłkarze świętowali zwycięstwo, parodiując charakterystyczne wiecowe tańce Donalda Trumpa. Była to chyba najbardziej elegancka polityczna satyra całego turnieju.

FIFA wspiera gospodarzy

Oczywiście nie oszukujmy się. Faworyzowanie gospodarzy nie zaczęło się w USA.

W 1966 r. Anglia zdobyła mistrzostwo świata po słynnym golu Geoffa Hursta, który do dziś pozostaje najbardziej kontrowersyjną bramką w historii mundiali.

W 1978 r. Argentyna, rządzona przez wojskową juntę Jorge Videli, potrzebowała pokonać Peru różnicą co najmniej czterech goli. Wiedziała o tym wcześniej, bo FIFA odpowiednio ułożyła terminarz: walcząca o awans z Argentyną Brazylia zagrała swój mecz z Polską kilka godzin wcześniej.

Podobno przed meczem generał Videla w towarzystwie Henry'ego Kissingera odwiedzili w szatni szykujących się gry piłkarzy Peru. Videla miał tylko życzyć udanego spotkania oraz odczytać list od peruwiańskiego kolegi dyktatora generała Francisco Bermúdeza o przyjaźni i braterstwie między Argentyną i Peru.

Tak zmotywowani piłkarze Peru przegrali 0:6, a gospodarze wyprzedzili Brazylię i awansowali do finału. Przypadek.

W 2002 r. Korea Południowa przy wydatnej pomocy arbitrów eliminowała kolejno Włochów i Hiszpanów. FIFA i sędziowie zatrzymali ambitnych gospodarzy dopiero w półfinale.

Na koniec wygrał sport?

Na tle tych historii można nawet dojść do wniosku, że podczas amerykańskiego mundialu FIFA wykazała się pewną wstrzemięźliwością. Mistrzem została rzeczywiście najlepsza piłkarsko drużyna Hiszpanii.

Podczas dekoracji Donald Trump i Gianni Infantino najwyraźniej uznali, że również należą do grona zwycięzców i próbowali znaleźć się na podium. Kapitan Hiszpanii uprzejmie dał jednak do zrozumienia, że złoty medal zdobyli piłkarze.

Polityk i działacz musieli więc symbolicznie odsunąć się na bok. Przez krótką chwilę najważniejsza znów była piłka.

Drużyna Iranu oglądała finał już z domu – większość piłkarzy mieszka w bezpiecznych krajach Europy.

W czasie, gdy Hiszpanie świętowali mistrzostwo świata, amerykańskie lotnictwo po raz kolejny bombardowało cele w Iranie, niszcząc tę samą infrastrukturę, którą wcześniej zdążono już wielokrotnie ogłosić całkowicie zniszczoną.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 22.07.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl e85c9b743a

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Analiza psychologiczna: Co w Marku Wochu tak pociąga Jarosława Kaczyńskiego, że w imieniu PiS-u zawarł z nim pakt senacki?

Na pewno nie pociąga:

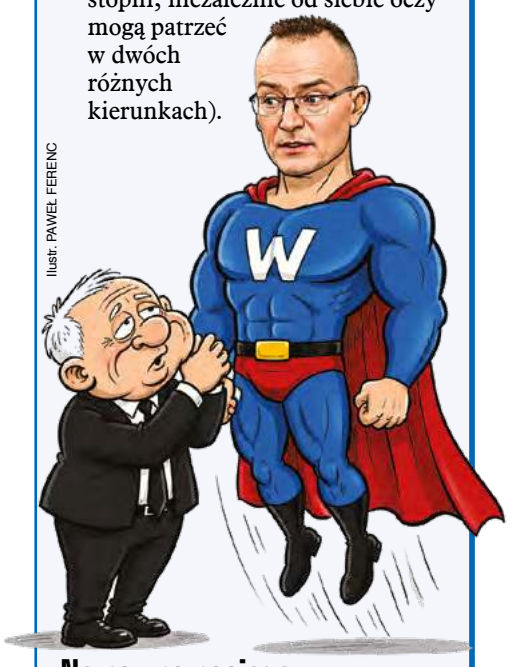
- ✔ znaczenie na polskiej i światowej scenie politycznej;
- ✔ pozycja społeczna;
- ✔ siła przekonywania elektoratu;
- ✔ sokoli wzrok.

Raczej nie pociąga:

- ✔ wysoki wzrost;
- ✔ kształt ust i zdrowe zęby;
- ✔ symetryczna twarz;
- ✔ mocna linia żuchwy;
- ✔ płaski brzuch i jędrne pośladki;
- ✔ gęstość, faktura i kolor włosów;
- ✔ widzenie tunelowe.

Prawdopodobnie pociąga:

- ✔ wyprostowana postawa;
- ✔ okazała muskulatura;
- ✔ rozmiar penisa;
- ✔ wzrok kameleona (widzenie 360 stopni; niezależnie od siebie oczy mogą patrzeć w dwóch różnych kierunkach).



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Na pewno pociąga:

- ✔ magiczna osobowość;
- ✔ wewnętrzny magnetyzm;
- ✔ umiejętność przebywania w tym samym czasie w wielu różnych miejscach;
- ✔ zdolność latania;
- ✔ kuloodporność;
- ✔ nieśmiertelność;
- ✔ laserowy i rentgenowski wzrok.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN jak zwykle jeździ po Polsce. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** stróżuje w Białymstoku.

Senyszyn: – I jak ci ta pańszczyzna idzie?

Wołk-Łaniewska: – Bardzo miło, choć liczyłam na lato, a tu jesień, leje, że psa by nie wygonił…

– I co?

– I nie wyganiam. A jak mu proponuję spacer, to patrzy na mnie z niesmakiem. Nie wiedziałam, że psy potrafią cię spojrzeniem zmieszać z błotem. Myślałam, że to kocia specjalność.

– To nawet zostało uwiecznione w błyskotliwym opisie stosunków między ludźmi i zwierzętami domowymi z czasu pandemii: „Wszystkie nasze psy myślą, że siedzimy w domu, bo rzuciliśmy pracę, żeby spędzać z nimi więcej czasu. Wszystkie nasze koty są pewne, że siedzimy w domu, bo wywalili nas z roboty, albowiem jesteśmy debilami, o czym one zawsze wiedziały”.

– No właśnie. A tu się okazuje, że ryży kundel z bidula potrafi spojrzeć na ciebie z pogardą jak nie przymierzając, brytyjczyk.

– W sensie: obywatel Wielkiej Brytanii?

– To też, choć tym razem miałam na myśli kota brytyjskiego krótkowłosego. Takiego błękitnego kociego arystokratę. Ale jeśli chodzi o Brytów na dwóch nogach, to potrafią okazywać pogardę nawet jak nie są arystokratami. Jak byłam ostatnio w Londynie, mieszkałam w okolicy, która kiedyś była chyba dzielnicą robotników z doków Kompanii Wschodnioindyjskiej, a teraz została opanowana przez imigrantów z krajów muzułmańskich. I na jednym z takich domków dokerów, zachowanych między blokami, był z tuzin flag Anglii.

– Nie mylić z flagą Wielkiej Brytanii, będącą mozaiką flag Anglii, Szkocji i Irlandii…

– Dokładnie. Anglia ma tylko czerwony krzyż na białym tle i obecnie stał on się symbolem angielskich nazioli napadających na imigrantów. Ten koleś z mojej dzielnicy miał angielską flagę w każdym oknie i jeszcze girlandkę z takich flag między oknami. I jestem dziwnie pewna, że nie wyrażał w ten sposób poparcia dla drużyny Anglii na mundialu, tylko pokazywał fucka sąsiadom, którzy byli jak na jego gust za ciapaci. A skoro już się tak zgadało: co myślisz o nowym brytyjskim premierze?

– Trochę za wcześnie na ocenę, ale już trafnie odnotował, że za czasów Thatcher popełniono kilka błędów. Choć to nieco zbyt ostrożne ujęcie tej ekonomicznej i społecznej katastrofy.

– Równie ostrożnie mówił o tym, że Labour Party musi „wyrażać się jasno, jeśli chodzi o nasz krytycyzm wobec tego, co stało się w Gazie”.

– „Krytycyzm” wobec ludobójstwa nie wydaje się adekwatną postawą.

– Prawda? I jeszcze, że „są narastające dowody, że zbrodnie wojenne wydają się być popełnione”…

– Teraz to sobie żartujesz.

– Nie, acz może niezbyt zręcznie to przetłumaczyłam, żeby precyzyjnie oddać kwiecistość sformułowania. Wygłosił też kuriozalne oświadczenie: „Wiem, że wiele osób czuje, że na początku militarnej akcji Izraela w Gazie moja partia nie zareagowała właściwie i za to przepraszam”… Kiedy Kwaśniewski przepraszał za Jedwabne, Urban napisał z wdziękiem: „Kiedy pierdnę, beknę, albo trafnie nazwę żonę kurwą – to przepraszam”. I dodał, że są sytuacje, w których słowo „przepraszam” wydaje się niewystarczające. To jedna z takich sytuacji.

– Mnie szczególnie zaintrygowała jego deklaracja, że nowy zespół „da tym rządom drugą szansę na zrobienie pierwszego wrażenia”. Na pewno wrażenie jest lepsze od tego, które robił Keir Starmer, ale to nie jest za wysoko postawiona poprzeczka. Mateusz Morawiecki był lepszym premierem niż Beata Szydło, ale czy to wystarczy?

– Przyznam ci się, że ostatnio Morawiecki bardzo mi się podoba. Sama bym pojechała na jego politycznego grilla antykaczyńskiego, gdybym nie była w Gdańsku…

– Myślałam, że jesteś w Białymstoku.

– Bo jestem. Ale 31 lipca będę w Gdańsku na festiwalu szekspirowskim. Ale gdybym nie była: myślisz, że tygodnik „NIE” mógłby dostać akredytację na melanż Mateusza?

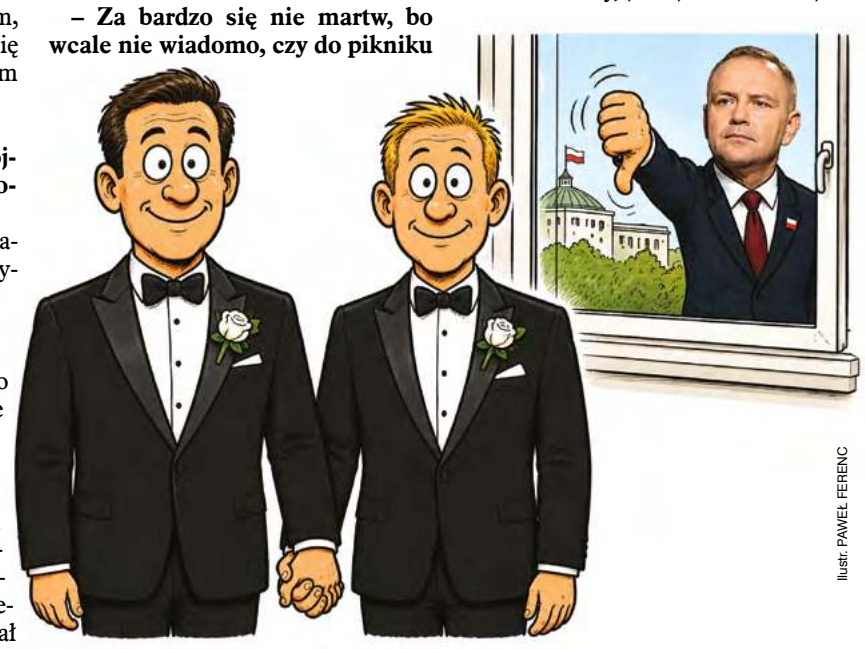
– Szczerze?

– Tak.

– Nie.

– Smutno…

– Za bardzo się nie martw, bo wcale nie wiadomo, czy do pikniku dojdzie. A jeśli nawet – czy będzie liczny, bo już odszedł Obajtek i jakaś posłanka.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– No to zmieńmy temat. O ustawie o statusie osoby najbliższej chciałam porozmawiać. I wsadzić kij w mrowisko, bo ja nie jestem tak do końca przekonana do tej ustawy, którą Nawrocki zawetował…

– O, widzę, że naprawdę chcesz jechać do Morawieckiego na grilla.

– No toć mówię, że bym pojechała, gdyby nie Szekspir. Ale serio: mam niejakie wątpliwości co do wspólnych rozliczeń PIT. To stwarza nazbyt szerokie pole do nadużyć.

– Jesteś przeciwna ślubom gejowskim z powodu podatków?

– Wręcz przeciwnie, jestem za ślubami, wraz ze wszystkim prawami i obowiązkami, z adopcją dzieci włącznie. Tę decyzję każdorazowo podejmuje sąd i jedynym kryterium powinno tu być dobro dziecka.

– A dzieciom z całą pewnością będzie lepiej w kochającej rodzinie dwóch gejów, niż w rodzinie zastępczej, która trzyma je, bo dostaje za to pieniądze.

– Też tak uważam. Jestem natomiast przeciw umowie notarialnej, którą mogą zawrzeć dowolnie wybrane dwie osoby, jeśli jedna z nich jest biedna, a druga chce uniknąć wejścia w drugi próg podatkowy. Doświadczenie dowodzi, że zamożni rodacy mają skłonność do optymalizacji podatkowej i jak im się otworzy taką furtkę, skwapliwie z niej skorzystają.

– Bardzo się mylisz. Wspólny PIT dotyczy osób, które mają wspólność majątkową. Pokaż mi bogatego, który fikcyjnie żeniąc się z biedakiem, nie zechce zrobić rozdzielności majątkowej, żeby po rozwodzie nie dzielić się majątkiem nabytym w trakcie trwania związku.

– No może. Ale z drugiej strony – prawdziwi bogaci i tak nie płacą podatków według skali, tylko uciekają w jakieś ryczałty, fundacje rodzinne i różne inne przekręty. Za to różni mniejsi cwaniacy, co są na wysoko opłacanym etacie i woleliby płacić 12 proc. zamiast 32, mogą się skusić.

– Powtarzam: nie sądzę. Za duże ryzyko. Zresztą nawet przy małżeństwie z miłości coraz częstsza jest rozdzielność, bo majątek bywa bardziej kochany niż partner, a na pewno warto się z nim związać do końca życia.

– Nie wiem, nigdy nie miałam majątku. Partnerów kilku, ale żeby aż do końca życia…

– Przypominam sobie pewne powiedzenie o małżeństwie, akurat hetero: pobrali się nie z miłości, a z nienawiści. Ona nienawidziła samotności, a on braku pieniędzy. Smutne, ale małżeństwa z miłości są jednymi z najbardziej przereklamowanych i najmniej trwałych.

– Tak, i jeszcze był taki dowcip żydowski: „– Mój syn się żeni. – Z miłości, czy dla pieniędzy? – Z miłości dla pieniędzy”. Mnie to w ogóle nie smuci, bo ja zawsze uważałam, że małżeństwo to opresywna, archaiczna instytucja, zupełnie niemająca sensu w XX w., a już na pewno w XXI.

– Mam inne doświadczenia.

– Co czyni z ciebie wyjątek potwierdzający regułę.

– Dziękuję, lubię być wyjątkowa.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl e85c9b743a